Nr. 2. 10 Grudnia 1904 r.

POLAK W BRAZYLJI

Pismo tygodniowe -- dla wszystkich --

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KURYTYBIE POD REDAKCJĄ JANA HEMPLA.

OD ADMINISTRACJI.

—o—

POMIMO TEGO, ŻE PIERWSZY NUMER ODBILIŚMY W ILOŚCI OKOŁO 1000 EGZEMPLARZY, NIE MOGLIŚMY PODOŁAĆ WSZYSTKIM ZAMÓWIENIOM.

PRZYZNAJEMY, ŻE ILOŚĆ ŻĄDAJĄCYCH »POLAKA« PRZESZŁA NAJŚMIELSZE NASZE OCZEKIWANIA, PRZEPRASZAMY WIĘC TYCH WSZYSTKICH, KTÓRYM MIMO OTRZYMANIA ICH ZAMÓWIEŃ NIE POSŁALIŚMY PIERWSZEGO NUMERU.

ABY ZARADZIĆ TEMU NASTĘPNE NUMERY POSTANOWILIŚMY BIĆ W ILOŚCI 2000 EGZEMPLARZY.

W ODEZWIE NASZEJ POWIEDZIELIŚMY, ŻE DODATEK ILLUSTROWANY DOŁĄCZAĆ BĘDZIEMY CO DWA TYGODNIE, STOSOWNIE DO TEGO NUMER NINIEJSZY NIE POWINIENBY POSIADAĆ DODATKU.

WOBEC JEDNAK OGROMNEGO ZAPOTRZEBOWANIA »POLAKA« I TAK WIDOCZNIE ŻYWEGO ZAINTERESOWANIA SIĘ PUBLICZNOŚCI POLSKIEJ NASZYM WYDAWNICTWEM, JUŻ TERAZ POWIĘKSZYĆ JE MOŻEMY.

OD DZISIAJ WIĘC DODATEK ILLUSTROWANY DAWAĆ BĘDZIEMY CO TYDZIEŃ, ZAMIAST CO DWA TYGODNIE, JAK PIERWOTNIE OGŁOSILIŚMY.

MIŁO NAM STWIERDZIĆ TO ŻYWE 3 PRZYJĘCIE NASZEGO PISMA, ŚWIADCZY ONO BOWIEM, ŻE ILOŚĆ CZYTAJĄCYCH GAZETY OSTATNIEMI CZASY ZNAKOMICIE WZROSŁA, A JEDNOCZEŚNIE ŻE RODACY NASI BEZ POTRZEBY NAWOŁYWANIA SAMI ROZUMIEJĄ JUŻ SWE POTRZEBY I INTERESY.

* * *

STOSOWNIE DO TEGO, CO OGŁOSILIŚMY W ODEZWIE, NUMER NINIEJSZY I TRZY NASTĘPUJĄCE WYSŁANE BĘDĄ ZUPEŁNIE BEZPŁATNIE.

OD PIERWSZEGO STYCZNIA ZAŚ **POSYŁAĆ BĘDZIEMY** ŚCIŚLE **TYM TYLKO, CO WYRAŹNIE TEGO ZAŻĄDAJĄ.**

UPRZEJMIE PROSIMY, ABY KAŻDY, KTO MA ZAMIAR PRENUMEROWAĆ **»POLAKA W RAZYLJI«** PODAŁ NAM SWE IMIĘ I NAZWISKO WRAZ Z DOKŁADNYM ADRESEM.

TAKŻE DODAĆ NALEŻY, KTÓRY Z CZTERECH NIŻEJ WYMIENIONYCH KALENDARZY PRENUMERATOR ŻYCZY SOBIE OTRZYMAĆ.

PIENIĄDZE ZA PRENUMERATĘ PRZYSYŁAĆ NAJLEPIEJ WPROST DO REDAKCJI, ADRESUJĄC JAK NIŻEJ PODANO.

DLA OSZCZĘDZENIA KOSZTÓW PRZESYŁKI NAJDOGODNIEJ BYŁOBY ŁĄCZYĆ SIĘ PO KILKU LUB KILKUNASTU I RAZEM PIENIĄDZE WYSYŁAĆ.

PRZEDPŁATA NA »POLAKA W BRAZYLJI« WYNOSI DLA WSZYSTKICH PRENUMERATORÓW:

8 MILREJSÓW ROCZNIE.

KAŻDY KTO ZAPŁACI PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK Z GÓRY, ALBO CHOĆBY TYLKO ZA PIERWSZE PÓŁ ROKU, **OTRZYMA** ZUPEŁNIE BEZPŁATNIE KALENDARZ: **»POLAK«**, **»KATOLIK«**, **»MARJAŃSKI«** ALBO **»ŚWIĘTA RODZINA«** DO WYBORU.

ABY OTRZYMAĆ KALENDARZ TRZEBA ZAPŁACIĆ PRENUMERATĘ PRZED 15 STYCZNIA — DLA PÓŁROCZNYCH PRENUMERATORÓW I PRZED 1 LUTEGO DLA CAŁOROCZNYCH.

WSZYSCY NIEOPŁACAJĄCY PRZED TEMI TERMINAMI PRENUMERATY NIE BĘDĄ MOGLI OTRZYMAĆ BEZPŁATNIE KALENDARZA.

———o———

REDAKCJA »POLAKA W BRAZYLJI« MIEŚCI SIĘ W KURYTYBIE PRZY UL. SERRITO (CONSELHEIRO BARADAS) NA ROGU ULICY RIACHUELO

——o——

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI“

Caixa postal Nr. 122

CURITYBA—PARANA—BRAZIL.

KALENDARZ.

Sobota	10	Sw. Eulalji
Niedziela	11	3 adw. Sw. Damazego
Poniedziałek	12	Sw. Justyna
Wtorek	13	Sw. Lucji
Środa	14.	Sw. Euzebjusza
Czwartek	15	Sw. Krystyny
Piątek	16	Sw. Adelajdy
Sobota	17	Sw. Łazarza bisk.
Niedziela	18	4 adw. Sw. Wunibaldego

Zmiany księżyca:
Dn. 17 o godz. 7 więcz. pr. kw.

NUMER OKAZOWY!

Konstytucja brazylijska.

——

Po obaleniu cesarstwa w roku 1889 naród brazylijski ustanowił dla siebie konstytucję, czyli zbiór zasadniczych reguł wspólnego pożycia w jednej całości państwowej. Konstytucja ułożona w 1889 r. ulegała później niejednokrotnie zmianom w rozmaitych swych szczegółach; podstawowe wszakże jej artykuły trwają w swej mocy do dnia dzisiejszego.

Konstytucja to nie żadne prawo przez kogoś z góry samowolnie narzucone, lecz—to reguły przez sam naród dla swego własnego pożytku ustanowione. Jak pewna grupa ludzi, wiążąc się w stowarzyszenie, musi ułożyć sobie ustawę, czyli zbiór przepisów wspólnego działania, tak samo naród, który urządza się w państwo, który nie chce być bezładną masą lecz jednolitą, spójną całością, musi ułożyć sobie ustawę, którą w tym wypadku konstytucją narodową nazywamy. Jak w stowarzyszeniu wybiera się prezydujący, tak samo naród wybiera sobie rząd, powierzając mu kierownictwo spraw swoich. Aby rząd mógł należycie sprawować swe obowiązki musi mieć nadaną przez naród ,,władzę", to jest prawo rozkazywania poszczególnym obywatelom w granicach przewidzianych Konstytucją i prawo karania obywateli, również w granicach Konstytucją przewidzianych.

Konstytucję swego kraju winien znać każdy tego kraju obywatel.

,,Redakcja ,,Polaka" przygotowuje już przekład polski Konstytucji brazylijskiej, aby dać możność rodakom naszym, obywatelom brazylijskim, dokładnie zaznajomić się zkonstytucją państwa, do którego należą. Przekład ten, po ukończeniu go, rozesłany będzie bezpłatnie wszystkim prenumeratorom w oddzielnej książkowej odbitce; nastąpi to prawdopodobnie w drugim półroczu nadchodzącego roku. Tymczasem zaś podajemy kilka ważniejszych konstytucji artykułów.

——

Jak wiadomo, Rzeczpospolita brazylijska składa się 20 stanów i jednego okręgu federalnego. Każdy stan rządzi się sam u siebie, jak to uzna za stosowne, i posiada swą własną, stanową konstytucję. Stany dzielą się na municypja, a każde municypjum znowu rządzi się samo u siebie.

Układając Konstytucję dla Brazylji wzorowano się na konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

——

Władza narodowa według konstytucji brazylijskiej dzieli się na: prawodawczą, wykonawczą i sądowniczą (art. 15 konst.)

Władzę prawodawczą nadaje naród wybranym przez siebie ludziom, poruczając im układanie praw i przepisów obowiązujących, jakoteż zmienianie już istniejących przepisów, jeśliby one w czymkolwiek niestosownemi się okazały.

,,Władza prawodawcza jest sprawowana przez Kongres »Narodowy, z sankcją prezydenta Rzeczpospolitej" (art. 12 konst.)

To znaczy prawa układa i ustanawia Kongres, a prezydent winien je zatwierdzić.

Kongres Narodowy składa się z Izby deputowanych i Senatu.

Na członka Kongresu może być wybrany każdy obywatel brazylijski, który jest obywatelem więcej niż cztery lata i jest wyborcą. Aby zaś mieć prawo należeć do Senatu trzeba być także wyborcą i obywatelem brazylijskim przez więcej niż sześć lat.

,,Wyborcami są obywatele brazylijscy, mający więcej nad 21 lat wieku, którzy się zaciągną w spisy zgodnie z ustawą. Wyborcami nie mogą być: żebracy, nie umiejący czytać i pisać, wojskowi niższych stopni, duchowni należący do zakonów lub kongregacji« (art. 70).

Z artykułu tego widzimy, że ludzie nie umiejący czytać i pisać zupełnie pozbawieni są prawa głosu w sprawach publicznych, podczas gdy dość jest nauczyć się czytać i pisać aby, będąc obywatelem brazylijskim, mieć prawo dawania swego głosu we wszystkich ważniejszych wypadkach, np. przy wyborze deputowanych lub prezydenta, a tym samym brać udział w politycznym życiu całego państwa. O prawo głosu w sprawach publicznych starać się powiniem każdy człowiek rozumny, który nie chce pozwolić na to aby rządzono nim jak nic nie rozumiejącym i niemym zwierzęciem.

Izba deputowanych składa się z przedstawicieli ludu wybranych przez stany

Mobilizacja

w zaborze rosyjskim.

——

— Dziennik poznański zamieszcza następujący artykuł, opisujący pobór rekrutów na wojnę.

,,Wydzwonił żałobny dzwon rzsiewając popłoch i trwogę we wszystkich guberniach Królestwa.

Wojna poczyna zbliżać się do nas.

Dotąd czytaliśmy o niej jak o czymś strasznym, ale tak oddalonym, że telegramy i wiadomości ztamtąd, przebywszy olbrzymią przestrzeń, traciły na swej sile. Śledziliśmy przebieg operacji wojennych, w spisach poległych szukaliśmy polskich nazwisk, zajmowaliśmy się wszelkimi szczegółami, ale aż do dnia dzisiejszego nie wkładaliśmy całego serca w tę sprawę. Szliśmy na spoczynek spokojnie i wstawaliśmy do pracy, myśląc o wojnie jako o rzeczy strasznej, ale nie niepokojącej. Zabrano pierwszą partję doktorów z Warszawy, podniósł się w stolicy gwałt, a echa doszły i do nas; zabrano drugą mniejszą, powtórzyło się to samo. Mówiono o ogromnym procencie polaków w mandżurskiej armji, aż po niejakimś czasie zatonęły te krople w morzu. Zawarczało koło trosk i zabiegów ludzkich i popłynęło życie zwykłą koleją. Naraz powołano pod broń kilka gubernji. Żydzi, którzy o wszystkim zawsze wiedzą naprzód, gromadnie przeprawiali się do Prus, korzystając jeszcze w swoim czasie z kart lub też przechodząc po prostu nocą granicę. Ten ostatni sposób był wprawdzie utrudniony z powodu potrojonej liczby straży pogranicznej, rozstawionej w trzech linjach w pewnej odległości, ale czego pieniądz nie zrobi! Cena przeprowadzenia przez tak zwaną zieloną komorę, t. j. graniczny pas, wynosiła 20 rubli od osoby. Procent uciekających polaków był mniejszy; dezertowali przeważnie młodzi rekruci, powołani po raz pierwszy do losów. Zapasowi z roku 88—87 itd. obarczeni rodziną i obowiązkami, nie śmieli odważyć się na czyn desperacki. Kawałek ziemi, często obdłużony, oblany krwawym potem, wreszcie żona i dzieci żywione z codziennej pracy, to są korzenie pozapuszczane głęboko. Spodziewali się poboru od dawna, ale w każdej trwodze jest zawsze i nadzieja.

Nadszedł fatalny dzień.

Od wioski do wioski pędzili konno cwałem ludzie z depeszami wzywającemi do mobilizacji. Głuchy tętent kopyt rozlegający się w ciszy nocnej, kołatanie do drzwi i okien, podnosiły całe wsie na nogi. Niejedno serce zamierało z przerażenia...

Czytałem dużo opisów wojennych, ale całą grozę położenia widzi się dopiero patrząc na taki obraz własnemi oczyma.

Powstał mglisty jesienny dzień. Z kilku wsi należących do jednej gminy, poczęli zbierać się ludzie przed kancelarją gminną, jedni odprowadzając swoich ojców, mężów, synów i braci, inni szykując się do ciężkiej podróży. Ze wszystkich stron zjeżdżały się furmanki tak zwane podwody pod zapasowych. Rano odbyło się nabożeństwo, na 12 w południe naznaczono odjazd do gubernjalnego miasta. Zapasowi stali z rodzinami swojemi zbici w gromadki i rozmawiali cicho:

— Na niechybną śmierć idziem!

— Zawszeć może ktoś wróci!

— Kto ta wróci, ani ty, ani ja, ani dziesiąty, może jeden z całej gromady!

— Kto te dzieciska wyżywi i odzieje!

Te i tym podobne urywane zdania, pomieszane z płaczem kobiet i dzieci dochodziły mnie.

Skarżyli się, jak bezradne dzieci, znajomi i nieznajomi podchodzili opowiadając swe troski.

i przez okrąg federalny.

Na każde siedemdziesiąt tysięcy ludności przypadać powinien jeden deputowany. Każdy stan wysyła do kongresu conajmniej czterech deputowanych, choćby nawet ilość jego ludności mniejsza była niż 280 tysięcy.

Senat składa się z obywateli mających więcej niż 35 lat wieku. Na każdy stan przypadać powinno po trzech senatorów.

——

Władzę wykonawczą nadaje naród wybranym przez siebie ludziom, poruczając im wprowadzanie w życie i strzeżenie praw i przepisów przez kongres wydanych, jakoteż zarządzanie bieżącemi sprawami państwa.

»Władza wykonawcza sprawowana jest przez prezydenta Rzeczypospolitej. W razie potrzeby zastępuje prezydenta jednocześnie z nim wybrany wiceprezydent. Prezydentem może być tylko urodzony brazyljanin.« (art. 41.)

»Prezydent sprawuje urząd przez lat cztery«. (art. 43).

»Prezydent i wiceprezydent są wybierani przez bezpośrednie głosowanie narodu, absolutną większością głosów« (art. 47). To znaczy: każdy obywatel, posiadający prawo głosu, może i powinien dać swój głos na tego kogo uważa za najstosowniejszego do piastowania godności prezydenta, wszystkie te głosy są później policzone i prezydentem ten zostaje, kto najwięcej głosów otrzymał.

Prezydent do pomocy w rządach dobiera sobie ministrów, którzy podpisują jego akty. Każdy minister przewodniczy jednemu z ministerjów, czyli działów, na które podzielone są całe rządy krajem.

1. Minister finansów — zarządza pieniężnemi interesami państwa; a więc zajmuje się ściąganiem podatków, poborem opłat celnych, biciem monety, zaciąganiem pożyczek u obcych narodów lub u swego własnego i t. p.

2. Minister wojny—zarządza całą siłą wojskową państwa, a w czasie wojny prowodzi ją.

3. Minister przemysłu, komunikacji i robót publicznych—zajmuje się interesami fabryk, rolnictwa i t. p., a dalej—budową dróg, kolei żelaznych, portów, gmachów państwowych, telegrafów itp.

4. Minister sprawiedliwości i spraw wewnętrznych—zawiaduje sądami całego państwa, szkołami, bibljotekami i muzeami, ma w swej pieczy szpitale, zakłady dobroczynne i t. d.

5. Minister marynarki—zawiaduje flotą brazylijską.

6. Minister spraw zewnętrznych — zajmuje się załatwianiem interesów z państwami obcemi.

Ministrowie rozstrzygają te sprawy swoich ministerjów, które dotyczą interesów całego państwa, sprawy poszczególnych stanów załatwiane są w ministerjach stanowych, t. zw. sekretarjatach (secretaria). O tym, jakie sprawy należą do ministrów federalnych, jakie zaś załatwiane są w stanowych sekretarjatach, pomówimy szczegółowo przy opisie urządzeń stanowych. D. c. n.

Nasza pisownia.

—

Zaraz po wyjściu pierwszego numeru otrzymaliśmy kilka zapytań w sprawie naszej pisowni, niektórzy nawet — przyznać to trzeba — nie tyle pytali ile wprost zarzucali nam nieznajomość polskiego języka. W odpowiedzi na to dajemy poniższych kilka słów objaśnienia.

Wszystkie wykształcone narody dążą dzisiaj do uproszczenia swej pisowni, do wyrobienia sobie i przyjęcia jaknajprostszych, jaknajmniej złożonych reguł pisania.

Pisownia bowiem, zdaniem specjalistów, jest czymś najpodrzędniejszym w języku, jest czymś co może być zmieniane nie przynosząc żadnej szkody językowi; słuszna przeto jest, aby pisownia była możliwie najprostsza, tym samym najłatwiejsza do zapamiętania i nauczenia się jej, a jednocześnie, aby jaknajdokładniej stosowała się do sposobu wymawiania; albowiem pisownia podług wymowy winna być układana, a nie odwrotnie.

Różni uczeni różnie zapatrują się na pisownię polską i niejednokrotnie w rozmaity piszą sposób; dzięki temu powstała cała masa reguł pisania po polsku, reguł niejednokrotnie bardzo zawiłych i zupełnie niepotrzebnie wprowadzających całe szeregi wyjątków i ograniczeń. Aby zaradzić, temu grono uczonych warszawskich postanowiło ułożyć i przyjąć pisownię uproszczoną, którą nazwano pisownią fonetyczną: główną jej zasadą jest pisać tak, jak się wymawia.

A więc np. dawniej pisano „redakcya“ dzisiaj piszemy „redakcja“, ponieważ w wymawianiu przed „a“ końcowym nie słychać twardego „y“, jeno wyraźnie brzmi na końcu „ja“; tak samo „Marja“ zamiast „Marya“, boć nawet trudno byłoby wymówić takie „ya“ na końcu. Inne przypadki oczywiście do mianownika stosować się muszą, a więc „redakcji, Marji“, i. t. p.

W bierniku liczby pojedyńczej rodzaju nijakiego przymiotników i zaimków piszemy

---

Jeden siwy chłop zostawiał żonę z siedmiorgiem dzieci, mieszkanie opłacił do kwartału, ale co potem? Pieniedzy niema nic.

Nic dziwnego, że łamiąc ręce pytał, kto im da jeść.

Jest to ogólne położenie materjalne większej części zapasowych.

Inny wyrobnik zostawiał dwoje dzieci sierot pod opieką babki staruszki, złożonej chorobą, także bez chleba.

Szedł młody chłopak o sinych ustach i błyszczących gorączką oczach; dwóch braci i siostrę stracił na suchoty, sam on mimo wklęsłych piersi przesłużył 5 lat w wojsku i znowu dostał wezwanie.

Przezłzy uspokajał spłakaną matkę.

Głucha rozpacz biła od tej gromady.

Rozległa się komenda:

— Zapasnyje strojties! — t. j. rezerwiści stawajcie w szeregi.

I ustawiły się dwa rzędy tych spracowanych, znękanych, przyszłych obrońców Mandżurji. Wojsko spieszące do boju z zapałem i pieśnią zwycięzką budzi otuchę w najbardziej trwożliwym i miękkim sercu, ale ci ludzie oderwani nagle od swojej roli i biedy, nic nie wiedzący o tej Mandżurji dalekiej, o wielkiej polityce narodów, nie umiejący przeważnie nawet czytać i pisać, wyglądają raczej na ofiary, idące na rzeź, a nie na bohaterów nowej armji.

Pisarz gminny nakazawszy spokój, odczytał „najwyższy ukaz“!

Odpowiedziało mu milczenie...

— „Wsiadać!“ — zakomenderował strażnik i rozpoczęło się ciężkie pożegnanie. Dzieci czepiały się u nóg ojcom, rodzice błogosławili synów, głośny płacz zatrząsł tłumem.

Po dwóch, trzech siadało na wozy, kładąc przy sobie małe swoje tłomoczki z bielizną i chlebem na drogę.

Podwody ruszyły wolno, wyciągając się w długi sznur na drodze. Z jednej podniósł się blady chłop o błyszczących łzami oczach i wyciągając ręce do gromady, krzyknął głośno:

— Ostańta z Bogiem i módlta się, żebym do was wrócił! Dalsze jego słowa zagłuszył krzyk bezsilnej rozpaczy.

. . . .

W godzinę przechodziłem tą samą drogą — pusto już było zupełnie. Znów popłynęło życie koleją, a ból i smutek poszedł po szarych ugorach, od wsi do wsi, od chaty do dworu. Niema dziś w Polsce ani jednej rodziny która nie miałaby kogoś ze swoich na placu boju.

Padają łzy na wyschniętą, spieczoną ziemię mazowiecką, gorące łzy rostania i rozpaczy.

W Kutnie przed odjazdem zapaśnych pociągiem, biednym osierociałym matkom, żonom i dzieciom nie pozwolono się pożegnać, na wyraźny rozkaz gubernatora biedne istoty, nie wyłączając dzieci, kłuto bagnetami, bito knutami, po prostu zdeptano i skopano; co wyprawiano z bezbronnemi kobietami, trudno opisać — dosyć, że moskiewki, żony oficerów, błagały tychże, by nie pozwolili na takie znęcanie się żołdactwa nad bezbronnemi.

Rezerwiści, przejeżdżając przez stacje wykrzykują „niech żyje „*Japonja*“ — żyj „Kuroki“, my ci pomożemy.

ZŁOTE MYŚLI.

Bóg nic darmo nie daje, lecz wszystko otwiera,
I każdy z Boga tyle, ile chce zabiera.

Adam Mickiewicz.



„ym“, tak samo jak w rodzaju męskim. Np. „tym dzieckiem, a nie „tem dzieckiem“; tak samo „tymbardziej“, zamiast „tembardziej“. Jest to znowu zastosowanie się do wymowy; a jednocześnie jest to powrót do dawnej rdzennie polskiej formy. Końcowka „em“ w rodzaju nijakim wprowadzona została do polszczyzny przez profesorów uniwersytetu wileńskiego na początku ubiegłego stulecia; wprowadzona została zupełnie niepotrzebnie, na podstawie jedynie czysto teoretycznych uogólnień.

Tak samo nie ma potrzeby pisać „Kazimierz“, skoro mówimy „Kaźmierz“; nie potrzeba pisać „królewstwo“, kiedy mówimy „królestwo“ i t. p.

Wszystkich wypadków wyłuszczać i objaśniać nie możemy, bo za dużo zajęłoby nam to miejsca. Na zakończenie dodamy tylko, że pisownię, której trzymamy się, przyjęły już niektóre pisma warszawskie: z pism poważnych, przeznaczonych dla wysoko wykształconych ludzi, pierwszy uczynił to „Przegląd Filozoficzny“; z pism popularnych „Czytelnia dla Wszystkich“ — i niektóre inne. Wiele ks ążek drukują już dzisiaj podług uproszczonej pisowni i nie ulega żadnej wątpliwości, że w niedługim czasie przyjmą ją wszystkie czasopisma i książki.

Te kilka słów objaśnienia uważaliśmy za stosowne podać dla tych, co pytali się nas o naszą niezrozumiałą dla nich pisownię; natomiast tych wszystkich, którzy zarzucali nam nieznajomość polskiego języka, możemy jedynie odesłać do najnowszych warszawskich gramatyk i podręczników języka polskiego.

Z całej Polski.

Coraz więcej lekarzy z królestwa Polskiego otrzymuje wezwanie do udania się na plac boju lub, jak to się dzieje obecnie, do zapasowych lazaretów wojskowych, otwieranych w różnych miejscowościach państwa dla przywożonych z teatru wojny rannych i chorych.

„Komitet opieki nad wychodźcami“ pod tym tytułem zawiązał się w Krakowie komitet, który utworzy obszerniejszy komitet obywatelski, mający na celu niesienie moralnej i materjalnej pomocy coraz liczniej napływającym do Krakowa zbiegom z zaboru rosyjskiego. W skład komitetu zaproszeni będą przedstawiciele wszystkich sfer i zawodów miasta, bez względu na wyznanie i przekonania polityczne. Potrzeba zorganizowania pomocy dla zbiegów z za kordonu stała się piekącą wprost kwestją, gdyż rodacy nasi, rzuceni na pastwę losu, znajdują się częstokroć nietylko bez żadnych, choćby najskromniejszych środków do życia, lecz bez sposobu zarobkowania, do którego nie brak im sił i chęci. Zwykle także potrzebują porady prawnej, aby we właściwy i bezpieczny sposób rozporządzić sobą mogli. Spełnienie tego filantropijnego, zarówno jak patryotycznego obowiązku w sposób najrozsądniejszy, i najodpowiedniejszy, będzie zadaniem „komitetu opieki nad wychodźcami“. Administracja „Nowej Reformy“ rozpoczęła zbieranie składek na rzecz tego komitetu.

Nowy zamach na dzieci polskie. Niemcy nie ustają w swych napadach na dziatwę polską. W Inowrocławiu, w szkole elementarnej dla dziewcząt rozpoczęto od sw. Michała ni stąd ni zowąd naukę religji w języku niemieckim.

Podług obowiązującego dotąd rozporządzenia władzy państwowej ma się nauka religji w najniższym oddziale odbywać dla polskich dzieci w języku ojczystym.

Niezrozumiałym więc narazie wydaje się to dziwne rozporządzenie, sprzeczne z postanowieniem władz wyższych; naprawdę jednak nic w tym niema bardzo dziwnego: wyższa władza niemiecka już dawno wynalazła sposób obchodzenia swych własnych rozporządzeń. Oto poprostu daje się ciche, ustne polecenie nauczycielowi, aby uczył dzieci religji po niemiecku, jakby to czynił z własnej ochoty. Nauczyciel nie może się nie zgodzić. Gdy zaś upomni się kto o prawa dzieci polskich, wówczas władza wyższa całą winę zwala na nauczyciela, a sama wychodzi ze sprawy zupełnie czysta.

Wydalania. Znów świeży przyczynek do bezlitościwego prześladowania. Pod Pleszewem zamieszkiwał przy córce, żonie administratora folwarku, p. Jan Koźlicki, blisko 80 letni starzec prawie ociemniały, przebywający tam od lat dziesięciu za najlegalniejszym paszportem, wydanym przez oberpolicmajstra miasta Warszawy. Nagle przychodzi rozkaz, aby starzec w ciągu trzech dni granice państwa niemieckiego opuścił. Na próżno zięć i kilka bardziej wpływowych osób starało się o cofnięcie srogiego rozkazu. Nastąpiła kategoryczna odmowa i zagrożenie odstawienia pana K. przemocą do granicy. Ponieważ p. Koźlicki dłuższej podróży z powodu podeszłego wieku i złego stanu zdrowia nie może odbywać, więc tymczasowo zięć odwiózł teścia o kilka mil do znajomych pod Kalisz. Wyrugowanie starca nastąpiło w skutek denuncjacji nauczyciela, zażartego hakatysty, któremu sędziwy p. K. przy spotkaniu na plebanji kilka słów prawdy powiedział.

ROZRUCHY NA UKRAINIE.

Zaledwie zaczęto doprowadzać do skutku zamierzoną mobilizację, a już zewsząd dochodzą niepokojące wieści.

W Bogusławiu poborowi wzięli się do żydów, potym do policji, wzięli się tak na serjo, że wicegubernator Sztackelberg ruszył „uspokajać“ umysły! W całym kaniowskim powiecie czuć jakieś głuche wrzenie. W powiecie Wasylkowskim w majątku Henryka Molskiego, chłopi powadziwszy się z policją o postrzelonego przez uriadnika włościanina, wzięli się do dworu.

Z Białej Cerkwi dochodzą nie mniej groźne wieści. Wprawdzie nie doszło jeszcze do czynu, ale ogólne usposobienie jest tak naprężone, że po zachodzie słońca mieszkańcy nie mają odwagi wychodzić z domów.

W Mironówce tłum wdarł się do cukrowni, porozsypywał cukier i z otwartymi nożami rzucał się na przedstawicieli zarządu. Dyrekcja, uprzedzona tym pierwszym napadem, przedsięwzięła energicznie środki obrony, zorganizowała swoich robotników i odparła atak drugi, w którym wzięło podobno udział 420 ludzi; kamienie latały, jak kule podczas bitwy. Dwóch atakujących padło jakoby trupem na miejscu, reszta uciekła w popłochu, unosząc rannych, z których paru po drodze zmarło.

Przegląd polityczny.

JAK DŁUGO WOJNA TRWAĆ BĘDZIE?

Wobec obrotu rzeczy, jaki wojna przybrała w pierwszym swym okresie, dotychczas jeszcze nieukończonym, wszelkie, najbardziej nawet przybliżone obliczenia nie mają żadnych podstaw. To tylko pewna, że wojna trwać będzie bardzo długo, dłużej, niż się to niewtajemniczonym zdawać może. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby się przeciągnęła na cały szereg lat, czemu Rosja niewątpliwie łatwiej podołać może aniżeli Japonja.

O tym, żeby Rosja skutkiem niefortunnego dla niej wyniku jednej lub kilku bitew, lub skutkiem zajęcia Portu Artura przez japończyków, miała okazać się chętną do zawarcia pokoju — nawet mowy być nie może.

W takich warunkach, jak obecnie, żadna z wojen w nowszych czasach jeszcze się nie toczyła. Rozprawa odbywa się »na skórze trzeciego«; i to właśnie jest główną przyczyną, że wojna bardzo długo trwać będzie.

Możliwe jest najzupełniej, że nastaną w niej przerwy długie, w innych wojnach nieznane, jakie już teraz zaczynają się pojawiać. Przerwy jednak obecne są dopiero zapowiedziami przyszłych, o wiele dłuższych, trwających tygodnie, miesiące, a kto wie, może nawet i lata.

Przyczyną, mogącą taką paroletnią przerwę wywołać, byłyby zawikłania w niemniej ważnej dla Rosji »kwestji wschodniej« — w Turcji. Ale i w takim razie wojna w Azji wschodniej przybrałaby tylko charakter »przewlekły« — że się tak wyrazić można. Być może, że w tym wypadku Rosja poprόbowałaby zwabić japończyków za Amur do Syberji, chociaż trudno przypuścić, aby japończycy dali się wciągnąć w tak niebezpieczną pułapkę. Chwilowe jednak zajęcie bodajby nawet Mandżurji przez japończyków, nie będzie miało wpływu na ostateczny wynik wojny.

Gdyby nawet dalszy ciąg wojny miał toczyć się w podobny sposób, jak dotychczas, to jednak nie będzie on decydującym. Pozostanie wówczas do rozstrzygnięcia pytanie: kto kogo przetrzyma — nietylko pod względem zbrojnym, ale i finansowym. Odpowiedź zaś nie może wypaść dla japończyków pomyślnie.

Najważniejszą rzeczą w obecnej wojnie jest czas. Pod tym względem Japonja znajduje się w warunkach o wiele gorszych, aniżeli Rosja. Ponieważ zaś nie można również przypuszczać, że Japonja zgodzi sie łatwo na zawarcie pokoju, który jej żadnych nie przyniesie korzyści, ztąd więc wnosić można, że wojna trwać będzie długo, bardzo długo.

Z placu boju.

Japończycy rozwinęli nadzwyczaj energiczną agitację między chińczykami ściągając ich do swoich szeregów. Rozrzucono setki tysięcy proklamacji, wzywających chińczyków do wspólnej walki z europejskiemi najeźcami

Japończycy zastosowali przy obleganiu Portu Artura zupełnie nowe i nieznane dotąd pociski. Są to pociski pękające przy uderzeniu i wydzielające olbrzymie ilości nadzwyczaj cuchnących gazów. Gazy te nie są trujące, ale przyprawiają o natychmiastowe zemdlenie.

Rząd japoński nie zgodził się na prośbę Rosji wpuszczenia do Portu Artura jednego statku ambulansowego; twierdząc że oblężeni dostatecznie są zaopatrzeni w środki pomocy rannym.

—

Dywizja generała Renenkampfa udaremniła ruchy wojsk japońskich odbywane pod dowództwem generała Oku.

—

W kołach wojskowych w Petersburgu utrzymują, że po zajęciu pagórka odległego o 203 metry od głównej fortecy poddanie się Portu Artura będzie nieuniknione.

—

Jednocześnie nadchodzą wiadomości z Londynu, że ów wspomniany wyżej pagórek już został zajęty, pomimo prawdziwie bohaterskiej obrony ze strony rosyjskiej.

Straty obydwóch stron olbrzymie

Ponieśli rany generałowie japońscy Inkia i Nakamura.

—

Japończycy ufortyfikowali Dalnij, mając na uwadze zbliżanie się floty Bałtyckiej.

—

30,000 kozaków wyruszyło w kierunku Czaho.

—

Pierwsza dywizja bałtyckiej eskadry przybyła podobno do Małej Angry, gdzie zaopatruje się w węgiel. Stamtąd wyruszy do Tamaty.

—

Drogą żelazną Syberyjską wyprawiono do Władywostoku dwa statki podmorskie. Tomsk i Delfina.

—

W Petersburgu krążą pogłoski, że rząd rosyjski przygotowuje trzecią eskadrę, z celem wyprawienia jej na wody Dalekiego Wschodu.

—

W okolicach Hum-ho trwają okropne mrozy. Japończycy niezmiernie cierpią z tego powodu.

—

Telegramy z Mukdenu donoszą, że wojska rosyjskie zupełnie pozbawione są materjałów opałowych, niezbędnych wobec panujących mrozów.

—

Rosjanie podobno starali się odebrać japończykom pagórek na 203 metrze; zostali jednak odrzuceni.

—

Rosjanie fortyfikują Laotiszan i Nautaszan.

—

Generał japoński Nakamura został raniony w nogę; musiano mu ją odjąć.

KRONIKA.

Z TOMAS KOELIO. Dn. 28 z. m. odbył się na Rosach popis szkoły prowadzonej od 10 miesięcy przez ks. Misjonarzy. W szkole naucza ks. Hilaszek co drugi i co trzeci dzień. Na popisie był obecny p. Z. Okęcki, C. K. Konsul w Kurytybie. Widać, że szkoła daje dobre rezultaty: w ciągu tych kilku miesięcy dzieci nauczyły się czytać, pisać, nieco rachunków i historji polskiej. Nazajutrz dn. 29 odbył się popis szkoły dziewcząt, przy kościele.

—

C. K. KONSUL w KURYTYBIE, p. Z. Okęcki, wyjechał dn. 5 b. m. do kolonji położonych w dolinie Iguassu. P. Okęcki zwiedzi Rio Claro, Porto União, S. Matheus i t. d.; wracając odwiedzi Ponta Grossę. Celem wycieczki jest dokładne zbadanie stosunków na tych kolonjach panujących.

Towarzyszy mu konsul niemiecki p. Berecke.

—

2 Grudnia wyjechał do Lapy dla objęcia parafji wielebny ks. Lamartine. Olbrzymia ta parafja od czasu wyjazdu dawnego proboszcza ks. Getersdorfera i przeniesienia ks. J. Anusza na proboszcza do Aurakarji była pozbawiona dochownej opieki.

—

KOŁO SZKOLNE. W niedzielę dn. 4 b. m. odbyło się zwyczajne miesięczne zgromadzenie Komitetu Koła Szkolnego. Postanowiono zacząć wakacje w szkole dn. 15 b. m. a zakończyć je dn. 7 stycznia. Komitet ma zamiar zorganizować podczas świąt zabawę, w celu zebrania pieniędzy na rzecz Szkoły.

—

POMNIK marszałka Floriano Peixoto. Dn. 19 b. m. odbędzie się w Kurytybie uroczystość odsłonięcia pomnika na placu Tiradentes. Figura, wykonana w S. Paulo, w tych dniach przybędzie do Paranagua.

—

NA OSPĘ zmarło w Rio de Janeiro w październiku 412 osób. Mniej o 170 osób, niż we wrześniu najwidoczniej więc epidemja słabnie.

—

DRUGI JUŻ STATEK wywozi uwięzionych podczas ostatnich rozruchów w Rio na północ. Statek wiezie zapieczętowane rozkazy. Miejsce naznaczenia niewiadome. Podobno pierwsza partja została skierowana do Acre, co ze względu na zabójczy klimat tej okolicy, powszechnie uważane jest jako zbyt daleko posunięta przezorność.

—

WIELKA KRADZIEŻ. Urzędnik wydziału wypłat w Thesouro Nacional, w Rio de Janeiro, Francisco Fernandes de Assis Salgazo, zbiegł unosząc ze sobą 330 tysięcy milów. Policja prowadzi gorączkowe poszukiwania w celu znalezienia go.

—

NOWI PRZYBYSZE. Dn. 2 b. m. przyjechało do Kurytyby 7 rodaków z Krakowa i 1 jedon z Północnej Ameryki. Wszyscy ci panowie są to ludzie inteligentni, mający zamiar na stałe osiedlić się między nami. Sześciu z nowoprzybyłych należą podobno do krakowskiego towarzystwa Eleusis, którego członkowie aktem uroczystej przysięgi wyrzekają się na całe życie napojów wyskokowvch, palenia tytoniu, gry hazardowej i rozpusty.

Całem sercem witamy nowych towarzyszy.

Rozmaitości

DZIWNY PTASZEK.

Niedawno policja w Budapeszcie otrzymała doniesienie, że jakiś człowiek trzyma swego trzyletniego synka zamkniętego w klatce.

Zrobiono niespodzianie rewizją we wskazanym domu i znaleziono rzeczywiście dziecko zamknięte w obszernej klatce, były w niej prócz tego rozmaite przedmioty, zabawki, a nawet krzesło.

Najwidoczniej nie mogło być mowy o zbrodni. Doczekano się ojca, który wytłómaczył swoje postępowanie bardzo naturalnym sposobem: był wdowcem, nie mógł zostawiać inaczej dziecka samego bez narażenia go na jaki wypadek, kiedy więc wychodził na robotę z domu, zamykał dziecko w klatce.

Policja zagroziła temu panu więzieniem, jeśli nie obmyśli innego sposobu zabezpieczenia dziecka.

Biedak ze strachu tegoż dnia się zaręczył.

Kurs pieniędzy.

z dnia 8 Grudnia

1 funt szterl.	19$492
1 Frank	0$774
1 Marka	0$956
1 Dolar	4$013

CENY TARGOWE.

Ryż z Iguape, worek	28$000
Cukier z Pernambuko, biały, worek	30$000
Cukier z Itajahy, worek	18$000
Smalec w latach, kilo	1$000
Bataty, alkier	2$000
Kaszas, kinta	38$000
Kawa, aroba	12$000
Mięso wieprzowe, kilo,	$700
Mięso wołowe, kilo,	$500
Szarka z Rio Grande, aroba	14$000
Szarka miejscowa	9$000
Cebula, kilo	$800
Farinja kukurudziana, alkier	3$000
Farinja mandjokowa z Morretes, wor.	13$000
Mąka pszenna, worek	12$000
Mąka żytnia, alkier	3$600
Fiżon, kargier	16$000
Kukurydza, kargier	7$500
Kurczęta, sztuka	1$000
Jaja, tuzin	$500
Łój wołowy, aroba	7$000
Sól, 20 litrów	2$000

Kronika zagraniczna

Zakup statków. Rzeczpospolita Wenezuela sprzedała Rosji krzyżownik „Restaurador“. Czili i Argentyna oświadczyły się z chęcią sprzedania rządowi rosyjskiemu kilku swoich statków.

Jest to naruszenie zasady neutralności, ze strony tych trzech rzeczpospolitych południowo-amerykańskich.

Niemcy posłały do Afryki świeże posiłki w ludziach i znacznych zapasach broni i amunicji.

Dżuma. W Santiago stwierdzono kilka wypadków dżumy. Dżuma pojawiła już także w Buenos Ayres.

Komunikacja z Europą. Na początku roku przyszłego otwarta będzie nowa linja parostatkowa bezpośredniej komunikacji między Genuą i Valparaizo.

O pokój powszechny. Na żądanie prezydenta Stan. Zjed. A. Półn. Rossewelta, sekretarz stanu Hay wystosował notę do mocarstw, podnoszącą potrzebę zawarcia powszechnych traktatów rozjemczech i utworzenia rozjemczych trybunałów. Nota domaga się ponownego zwołania międzynarodowej konferencji pokojowej nawet jeszcze podczas wojny, wprawdzie bowiem nie ma nadziei, ażeby przyszło choćby tylko do zawieszenia broni, to jednakże z tego nie wynika, ażeby ustawać w powszechnych dążeniach pokojowych, jeżeli one tylko, choćby o krok jeden, mogą posunąć naprzód sprawę pokoju powszechnego.

Statek angielski „Indraki„ uległ katastrofie wskutek zetknięcia się ze „Smoleńskiem“

Wiadomości urzędowe

Prośbę Jana Szymińskiego [João Chimiński] z linji S. Pedro na Lucenie sekretarjat odesłał do 16-tego komisarjatu dla otrzymania stosownych informacji.

Sekretarjat Robót Publicznych zażądał od p. Jorge Joppert'a aby jaknajprędzej nadesłał prośbę Władysława Zadorskiego, Ladislau Zadorski.

Poborca kolonjalny z Rio Claro proszony jest aby jaknajspieszniej stawił się w Sekretarjacie R. Pub., dla dania objaśnień w sprawie zarzutów przeciwko p. Genesio de Sá Sotto-Maior.

Przegląd prasy.

Wychodzące w Kurytybie pisma tak powitały pierwszy nasz numer.

„Republica“ z dn. 3 grudnia. — Pojawił się dzisiaj Nr. 1 pisma „Polak w Brazylji“ wydawanego w języku polskim pod redakcją p. Jana Hempla.

Nowy organ ma za cel obronę interesów kolonji polskiej; widać że rozporządza niezbędnym zapasem stosownych środków działania i dostateczną ilością sił do pomyślnego rozwoju.

Pozdrowienia nowemu koledze“.

„Diario da Tarde“ z dn. 3 grudnia. „W dniu dzisiejszym wyszło w naszej stolicy śliczne pismo „Polak w Brazylji“ pod redakcją Jana Hempla.

„Polak“, jako spółczesne pismo ilustrowane, głoszące szlachetne ideje wieku, wielką ma pszyszłość przed sobą.

Do numeru dołączony jest piękny dodatek, zawierający powieść i rysunki, obrazujące wypadki spółczesne.

Nowemu bojownikowi zasyłamy serdeczne pozdrowienia“.

Jedyny tutejszy organ polski **„Gazeta Polska w Brazylii“** jeszcze przed wyjściem naszego numeru tak nas przywitał (Nr. 44 z dn. 22 paździer. r. b.)

— **Nowe** pismo polskie ma wkrótce wychodzić w Kurytybie. Podobno nawet, że będzie rozdawane bezpłatnie, w co chcemy uwierzyć, znając jego właściciela jako człowieka dość majętnego, a ponoć i energicznego. Jeżeli pogłoska ta sprawdzi się tj. jeżeli nowe pismo rzeczywiście będzie rozdawane za „darmochę“ to cieszyć się będziem niezmiernie, Szan. Czytelnicy nasi bowiem będą mieli znakomity dodatek do Gazety Polskiej. Górą Polonja Pańska!

PRAKTYCZNE RADY.

MIÓD PITNY.

Kto ma dużo miodu może spróbować zrobić z niego wyborny i bardzo lubiany napój.

Łatwy sposób robienia miodu pitnego jest następujący: 4 litry miodu rozpuścić w 20 litrach wody, następnie przecedzić przez czysty parokrotnie złożony gałganek. Płyn ten wlać do kociołka cynkowego i gotować póty, aż połowa wygotuje się, poczym znowu dolać zimnej wody, aby było tyle płynu, jak przed gotowaniem i gotować powtórnie, dodawszy pół kila szyszek chmielowych, zawiązanych w płóciennym woreczku. Kiedy się powtórnie wygotuje do połowy, przelać do innego naczynia. Jak przestygnie wlać duży kieliszek drożdży i zostawić w spokojnym miejscu na dwa tygodnie, aby przefermentowało. Poczym przecedzić przez parokrotnie złożony czysty gałganek, zlać do beczułki lub butelek i starannie zakorkować.

Miód pitny przechowywać można niezmiernie długo, i im dłużej stoi, tym lepszy się staje.

Od Administracji.

PRENUMERATĘ ZA CAŁY ROK 1905 nadesłali P. P.: C. K. Austr. Weg. Konsulat; Edward Kuligowski; Józef Kuciela; Stefan Beściak B. R. 3 egz.

PRENUMERATĘ ZA I POŁROCZE 1905. nadesłali P. P.: Józef Szczepański; Piotr Lewicki; Stanisław Gablak; Józef Dudek; Franciszek Gajewski; Jan Kęsikowski; P. Troczyński; Andrzej Bugalski; Jan Czajka; Władysław Olszewski; Andrzej Knapik; Jan Leś; Franciszek Bielik; Andrzej Borkowski; Jakub Kusiak; Jan Trojanowski; Józef Ołdakowski; Walenty Rostafiński; Antoni Kozłowski; Tomasz Rakowicz; Jan Gaudyński; Franciszek Burzyński; Stanisław Lebiedziński; Aleksander Wojciechowski.

— —

UWAGA! Pieniądze wysyłać należy przekazem pocztowym lub w liście rekomendowanym. Pieniądze włożone w list zwyczajny łacno zginąć mogą, za co Administracja „Polaka“ odpowiadać nie może.

Odpowiedzi od Redakcji.

PANU G. CZEKURZE. Żywotów świętych nie posiadamy. Na listę prenumeratorów zapisaliśmy Was, Sz. Panie. Kalendarz wyślemy natychmiast po otrzymaniu przedpłaty.

PANU JÓZEFOWI BOJANOWSKIEMU. List z dn. 22 listopada otrzymaliśmy; o poprzednim nie wiemy. Na listę prenumeratorów wpisaliśmy Was, Sz. Panie.

PANU C. PIEKARCZYKOWI. Mylicie się, Sz. Panie życząc nam powodzenia, jako pismu antyklerykalnemu. Mniemania Wasze pod tym względem są zupełnie bezpodstawne i dojść do nich mogliście jedynie dzięki jakimś plotkom, lub mylnym wieściom przez nieżyczliwych nam ludzi rozsiewanym. Celem naszym jest dobro kolonji polskich w Ameryce Południowej nic nad to.

PANU M. G-MU. Za obiecane korespondencje serdecznie dziękujemy. Będziemy umieszczali w miarę możności. Zastrzegamy sobie jedynie prawo drukowania z nadesłanych wiadomości tylko tego co sami uznamy za właściwe dla naszego pisma.

— —

Redakcya uwzględnia tylko listy, które całkowitym imieniem i nazwiskiem podpisane będą. Jeśli zaś kto nie chce, aby nawisko jego drukowane było w „Odpowiedziach“ może w liście swoim podać nam prócz nazwiska litery, pod któremi odpowiedź umieścimy.

Każdy list prócz tego posiadać winien datę i dokładny adres wysyłającego; — choćby był on naszym prenumeratorem.

Ogłoszenia

W Redakcyi »Polaka w Brazylji« są do nabycia następujące książki, po conie 700 rs. za tom nieoprawny i po 1$000 za tom oprawny.

Domańska	—	»Cicha moc	tomów	1
Bolesławita	—	»Czarna perełka	„	2
V. Hugo	—	»Rzeczy widziane	„	1
M. Twain	—	»Przygody Huk'a	„	2
Lachambre	—	»Wyprawa Andre'go		1
Doroszewicz	—	»Sachalin	„	3
Rodziewiczówna	—	»Dewajtis	„	2
Dygasiński	—	»Wilk psy i ludzie	„	1
Orzeszkowa	—	»Nowele	„	1
„	—	»Przy dochodzeniu	„	1
Smoleński	—	»Szkoły historyczne w Pols.		1
Le Bon	—	»Psych. rozwoju, narodów		1
Seidel	—	«Transvaal i Boerowie		1
Gruszecki	—	»Większością	„	3
Jeske-Choiński	—	»Stłumione iskry	„	1
Zagórski	—	»Humoreski	„	1
Gord.-Cuming	—	»Życie w Chinach	„	1
Slatin Basza	—	»Przéż Sudan	„	2
Lorentowicz	—	»Nowele francuskie	„	1
Słowacki	—	»Beniowski	„	1

Siemiradzki	— »Szlakiem wychodźców	2
Bałucki	— »Przeklęte Pieniądze,,	1
Plenkiewicz	— »Kształcenie młodzieży	1
Biernacki	— »Istota wiedzy lekarskiej	1
Gawalewicz	— »Szkice i obrazki ,,	1
Foá	— »Polowania w Afryce	2
Orłowski	— »Suggestja i hypnotyzm	1
Jokay	— »Serce kamienne ,,	3
Krasiński	— »Irydyon ,,	1
Bourget	— »Po szczeblach ,,	3
V. Hugo	— »Rok 1793 ,,	3
Reinstein	— »Humoreski ,,	1
Ochorowicz	— »Wiedza tajemna w Egipcie	1
Krzywoszewski	— »Pani Jula ,,	1
Galet	— »Cyrano de Bergerae,,	3
Junosza	— »Na zgliszczach ,,	1
De Wett	— »Trzy lata wwojny ,,	2
Rejmont	— »Sprawiedliwie ,,	1
Smoleński	— »Dzieje narodu polskiego	4
Zacharyaszewicz	»Zakopane skarby ,,	1
Słowacki	— »Powieści poetyczne ,,	1
Gruszecki	— »Szarańcza ,,	4
Słowacki	— »Pcemata ,,	1
Cohn	— »Chemja życia codziennego	
Kipling	— »Od morza do morza,,	2
Serao	— »W biurze telegraficznym	1
Hoffmanowa	— »Dziennnik Françiszki Krasińskiej	1
Laskowski	— »Wiersze i śpiewki ,,	1
Or-Ot	— »Poezye ,,	1
Kipling	— »Kim ,,	2
Lam	— »Głowy do pozłoty ,,	4
Twain	— »Bajeczki dla starych dzieci	1
Konopnicka	— »Pod prawem ,,	1
Dygasiński	— »W Kielcach ,,	1
Chléboradzki	— »Na kurpiowskim szlaku	3
Byron	— »Wędrówki Child-Harolda	2
Bullen	— »Wyprawa na połów wielorybów ,,	2
Goncourt	— »Bracia Zemgano ,,	1
Bord	— »Chińczycy u siebie ,,	2
Bliziński	— »Obrazki ,,	1
Orzeszkowa	— »Jędza ,,	1
Maliszewski	— »Z życia ,,	1
Bulwer	— »Ostatnie dni Pompei ,,	4
Junosza	— »Żywot i sprawy Kaltkugla	2
Wells	— »Wojna światów	2
Gomulicki	— »Nowele ,,	3
Mrozowicka	— »W płytkim prądzie ,,	1
Andersen	— »Bajki i cpowiadania ,,	1
Lenartowicz	— »Poezye ,,	1
Lie	— »O zachodzie ,,	1
Junosza	— »Czarne błoto ,,	2
Suttnerowa	— »High-Life ,,	2
Rostand	— »Cyrano de Bergerac ,,	2
Junosza	— »Pająki ,,	1
Aspiró	— »W dolinie łez ,,	2
Goethe	— »Reineke lis ,,	1
Szajnocha	— »Dwa lata dziejów ,,	2
Szmaczniński	— »Na dnie otchłani ,,	1
Gruszecki	— »Wykolejony ,,	1
Lam	— »Wielki świat Capowic ,,	2

Oprócz powyższych książek w Redakcji nabywać można:

Trzy powieści H. SIENKIEWICZA

Ogniem i mieczem	tomów	2
Potop	„	3
Pan Wołodyjowski	„	1

Razem **6 tomów za 10$000.**

Adam Mickiewicz — Pan Tadeusz cena 1$000
„ „ Pisma Poetyczne“ 1$000
Pieśni narodowe Polskie cena 200

Wszystkie te książki na żądanie mogą być wysłane pocztą; należność przesyłać można markami pocztowemi. Na koszt przesyłki książek dołączyć należy po 100 rs. na każdy tom.

„Dziś już to snem jest
Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą. Sąż to gwiazdy te same?“

SŁOWACKI.

I.

Dziwną była jesień roku 1806. Już w sierpniu zapowiadana przez srogie wichry, a zimne dżdże, rozpłynęła się nagle w lazurach pogodnego nieba. Łagodnem tchnieniem zefirów otuliła lasy i równiny, skrzydlatych gości odlot opóźniając, łatwowierne drzewa do młodych zachęcając pędów, w starcach budząc wspomnienia.

Nieufny kmieć podejrzliwem spoglądał okiem na ruń zieloną ozimych zbóż, która zdążyła już pokryć ledwie obsianą rolę, wróżby szukał w rozkwitłej nagle czereśni; klekot wieczorny bociana niecił w nim lęk zabobonny. A w przeźroczach łagodnych promieni październikowego słońca snuły się tymczasem nieprzerwanem pasmem pajęcze nici babiega lata, jedną niezmierzoną przędzą ogarniając sioła i miasta, góry i doliny, stepy a puszcze, bory i pola, skały a piaski lotne, szlacheckie zaścianki i pańskie sadyby.

Niby kądziel jedwabista, potężną rzucona ręką hen, u porohów dnieprowskich, rozpostarła swe sploty aż po stopy Giewontu, aż po koryto wartkiej Łaby.

Naraz cisza zaległa. Cisza bezbrzeżna, głucha. Niebo jasne, ciepło ożywcze, odradzająca się zieleń przestały wabić; odciągnęły żórawie, znikły tłumy śpiewaków różnobarwnych, płaz skrył się pod ziemię, wpółsenny niedźwiedź szedł do legowiska. Na ustach pastuszych skonała piosnka żałosna. Zdumieli się ludzie i poglądali na się w milczeniu. Wśród długich wieczorów szeptano niekiedy do późna po chatach i dworach, urywając ciche gawędy i jakby nadsłuchując, ażali od dalekich borów a tajemniczych

mgieł horyzontu nie dojdzie ich jaki dźwięk.

Wieczór zapadał. Na drodze, ciągnącej się od Brzezin ku Rawie, wlókł się mały, węgierski wózek, zaprzężony w parę gniadych mierzynków. Droga była ciężka, miejscami wąska, wypukła zawalona kamieniami, to znów rozlewająca się w szeroki piasczysty gościniec. Wózek co chwila to zapadał w głęboko żłobione koleje, brzuchem swym muskając ziemię, to wspinał się z grudy na grudę, z kamienia na kamień. Konie ustawały. Stary, skulony furman zachęcał je głosem, szarpał z lekka lejcami, lub smagał batem. Lecz i to przestało skutkować. Gniadosze rozwarły chrapy szeroko, najeżyły krótko strzyżone grzywy i zatrzymały się nagle, dysząc ciężko.

Furman zeskoczył z wózka, a za nim, siedząca obok niego, baba. Z tylnego siedzenia zerwał się młody człowiek, zbudzony widocznie i chwycił machinalnie za ukrytą w zanadrzu krucicę.

— Maciej! — zakrzyknął. — A tam co?!...

— Ustały, panie poruczniku!

— Bo tyś zdarzony akurat do powożenia! — odezwała się baba. — Gnałeś... gnałeś... to i masz... niezdaro...

— Jasia, nie gadaj — upomniał babę furman.

— Nie gadaj i nie gadaj! — przedrzeźniała dalej baba. — A teraz to konie wyłóż i ciągnij...

— Nie poradzi! — odparł flegmatycznie furman rozwiązując postronki uprzęży.

— A też to skaranie boskie z tym chłopem.

Młody człowiek nie zważał na dogadywanie baby, rękę do kaszkietu przyłożył i rozglądał się po okolicy.

Wreszcie rzekł półgłosem jakby do siebie:

— Nie widać! Może lepiej wózek porzucić! Na przełaj mila mniej...

Baba rozpostarła ręce szeroko i podchwyciła żywo:

— Na przełaj?! A toż byłoby dopiero! Ani myśli! Szkapiny się wydychają krzynkę!... O... jak to parska! Zdrów! I dowleczem się. Gdzieżbym ja to panicza mego puściła na piechtę! Jużci, nie jeden kraj się przemaszerowało,

ale gdzie tu... samotrzeć!... Włóczy się różnego zbójectwa pełno! A nie uszliśmy to już z dziesięć razy rozmaitym?... Ja tam siadam na wózek i czekam! No stary, czegoś gębę rozdziawił, dajże im obroku! Taki to, panie porucznika, ciemięga, a do strzelców konnych iść się napierał!...

Porucznik, zasypany potokiem wyrazów, uśmiechnął się smutnie.

— Dobrze mówicie Żubrowa. Tylko czy poczciwe koniska wytrzymają, czy nie omdleją? Nie jestem tu obcy papierów niema co okazywać... Sześć mil jednym tchem prawie przebiegły, a... ile jeszcze?

— Do Rawy, wedle rozkazu, będzie jedna, a potem w bok z półtorej.

— Wedle rozkazu! Wedle rozkazu! — powtórzyła z przekąsem baba. — Niby to pan porucznik kazał, żeby tyla jeszcze było!

— Jasia, nie gadaj — mruknął po swojemu furman.

— I to... to zrobili podoficerem jeszcze! — gderała dalej baba.

— A no trudno — przerwał porucznik. — Wysyp im resztę obroku, Niech wypoczną!... Noc zapada. Podjedziemy do miasta... Żubrowa skoczy potem cichaczem na rogatki! A nie macie tam czego w torbach?...

— Et! Nie ma strachu! Markietanka głowę na karku może ma lepszą, niż niejeden podoficer pierwszej legii, pierwszego batalionu drugiej kompanii!...

Na potwierdzenie tych słów baba skoczyła do wózka i jęła wydobywać zeń prowianty i gąsiorek z wódką. Porucznik przysiadł nad rowem i zabrał się ochoczo do jadła, przepijając ze smakiem.

— Gdańska! — zauważył z ukontentowaniem. — Pijcie i wy.

Baba chwyciła za flaszkę i pociągnęła mocno raz i drugi.

— Co nasze, to nasze! — Aż gorącość w człeka wstępuje a żywość. Lepsze niż te italskie napoje, co choć gębę ze słodyczy sklejają, a jeno ckliwość po nich ostaje i zgaga! — Stary, masz i ty, a folguj, bo mi się spijesz!...

Już to głowę masz na nic! Widzisz, stary, nawet kule cię mijały, słusznie mądrzejszych łepetyn szukając... Pod tym Holindem...

— Hohenlinden! — poprawił porucznik.

— Ktoby tam spamiętał! pod Holindem już-już leciała na niego jedna, ale jak ci nie zobaczy z bliska tej kapuścianej głowy, tak dalej w bok, ledwie mu pogardliwie koło ucha gwizdnęła i przebiła porucznikowi Dziurbasowi kaszkiet!...

— Jasia! nie gadaj! — odezwał się tonem błagalnej prośby furman. — Baba atoli, widząc żartobliwy uśmiech na twarzy porucznika, ciągnęła swoje:

— Albo choćby w bitwie nad Adygą!... Stoję sobie przy ambulansie, a tu nieprzyjaciel plunął na przywitanie rotowym ogniem; patrzę, w drugiej kompanii, na lewo, kiwnęła się czapka — myślę, nareszcie mój dryblas się doczekał! Jesteś wdową, madam Żubrowa... Chwytam za manierkę, aby mu się dać napić na drogę żywota wiecznego i wciskam się między szeregi... Aż tu mój stary gryzie sobie najspokojniej ładunek! A kapral Michał Zadera leży jak długi i ani zipnie! Poczciwe było człeczysko. Nieraz bywało jeść nie ma co, aż zatyka. A tu Zadera naraz się zjawia. — Pani Żubrowa — powiada — bydlaka sobie zjemy!... Co?! — Ja mu na to, zła: Juści, bydlaka się zachciewa — a pomidorów z oliwą nie łaska?... A ten, aby białkami łypnie i patrzę, a już z kieszeni ciągnie przepiórkę niby psa za ogon!! Dobre chłopisko było!...

Baba urwała, rękawem oczy przetarła i nagle zamyśliła się. Porucznik odwrócił głowę i zapatrzył się w zapadające mroki nocy. Żubr jął opatrywać konie, które ostygły i potrząsały już ochoczo uzdami.

Nagle stary podoficer drgnął i zaczął nadsłuchiwać. Na drodze od strony Brzezin rozległ się miarowy tentent. Żubr poskoczył ku porucznikowi.

— Melduję pokornie, iż ktoś za nami nadjeżdża!

Porucznik porwał się z miejsca i skoczył do wózka.

Siadać żywo i ruszajmy.

Żubrowi nie trzeba było rozkazu powtarzać. Nakar-

mione mierzynki pomknęły żwawo.

Podróżni jechali przez chwilę w milczeniu. Turkot wózka śród nocnej głuszy rozlegał się dokoła. A oto czujne ucho furmana pochwyciło nowy odgłos, bo zaciął silnie mierzynki i szepnął, nachylając się w pół ku porucznikowi:

— Melduję pokornie, że nas gonią!

Jakby na potwierdzenie tych słów, gdy wózek wjechał w piasczystą kolej, a turkot jego ucichł, równocześnie — na drodze, w oddali rozległ się przyśpieszony tentent kopyt końskich.

— Ilu może być?

— Czterech.... pięciu!

— Mądrala — mruknęła baba.

— Zwolnić—zakomenderował porucznik.—Żubrowa na moje miejsce! Nie ujdziemy! Broń opatrzyć! Uważać! Jakby więcej... to pójdziem w pole!

Rozkaz wykonano natychmiast. Mierzynki przeszły na spokojnego truchta. Baba rozsiadła się wygodnie w tyle. Porucznik nasunął kaszkiet na oczy i zajął miejsce obok furmana.

Tymczasem pogoń zbliżała się coraz szybciej, wreszcie gdy przysunęła się na odległość strzału, dał się słyszeć donośny głos:

— Hej tam! stać w miejscu!

Wózek zatrzymał się.

— Prusacy! -- szepnął porucznik, pochwyciwszy w lot znany mu dobrze akcent.

Baba nie straciła rezonu, wykręciła się na siedzeniu ku nadjeżdżającym i zakrzyknęła tonem sprawiedliwego zniecierpliwienia:

— No więc stoję! i cóż!?... Czego to waćpanom potrzeba?!...

Jezdni otoczyli wózek. Jeden z nich wysunął się naprzód i łamaną polszczyzną zaczął:

— Dokąd? I skąd?!

— A to pan nie widzi, że na drodze do Rawy! Olaboga, cóż to?! do domu wracać nie wolno!?...

— Ci ludzie z wami?

— Ci ludzie? Znać, że waćpan nie tutejszy, adyć to ten pijak, mój furman, niedołęga, a ten drugi... pociotek...

Jeździec, snać nie mogąc rozeznać podróżnych w ciemności, zakomenderował sucho:

— Wózek w środek i marsz!

— Niby jakto?! — ozwała się Żubrowa.

— Papiery macie?

— A czy to bez papierów kto jeździ!?

— Tem lepiej dla was. Zobaczy się w Rawie!

— Niech będzie w Rawie! Albo to pana starosty nie znam! Oho!

— Starosty! — zaśmiał się ironicznie jezdny. — Zobaczysz ty starostę, że aż landrata popamiętasz! Hans naprzód!

Wóz otoczony jezdnymi, ruszył powoli z miejsca.

Milczenie zaległo wózek. Żołnierze konwoju przyciszoną jęli prowadzić rozmowę.

Baba nie mogła wytrzymać długo i szturchnęła w plecy furmana — szepcąc przez zęby:

— Słyszysz stary, jak szwargoczą? Tyle drogi i u brzegu przyjdzie ugrząść.

— Nie gadaj! — wycedził dobitnie Żubr.

Porucznik tymczasem rozglądał się dokoła, próżno usiłując przeniknąć ciemności. Żubr ze swej strony, jakby odgadując myśli porucznika, wzrok wytężał, a wykręcał się nieznacznie. W końcu nachylił się i wyrzekł uroczyście:

— Pokornie melduję, że sześciu!

Potężny kułak w plecy był mu odpowiedzią.

— Widzisz — ozwała się Żubrowa, korzystając z tego, że wózek wjechał na wyboisty kawałek drogi i jął dzwonić łańcuchami i trzaskać — widzisz niedołęgo, a mówiłeś, że czterech! Kapuściana głowa! Skaranie z tym chłopem!...

Żubr ani drgnął, oczy wytrzeszczył i głowę ku jadącemu obok wózka nachylił. Badanie było długie.

— Melduję pokornie — żółte huzary!
Porucznik poruszył się niespokojnie.
W tejże chwili z poza chmury wysunął się rąbek księżyca. Światło jego padło na twarz jadącego tuż obok wózka huzara. Stary Żubr zadrżał i chwycił machinalnie porucznika za ramię, tłumiąc dobywający się z piersi okrzyk:
— Schmidt!!... — rzucił przez gardło.
Huzar poruszył się na siodle i zawołał groźnie:
— Hej! Co tam za szepty! Cicho być!... Mieć ich na oku!...
Porucznika zimny dreszcz przeszedł. Tak, to był głos Schmidta! I w jednej chwili cała przeszłość stanęła mu przed oczyma. Było to dwanaście lat temu, gdy służył w kawaleryi pod Madalińskim, brygadyerem. Nakazano zmniejszać regimenty, kasować pułki. Madaliński, a z nim jemu oddana drużyna nie chciała się rozstać z mundurem. Brygadyer poprowadził. Rozpoczęto walkę na swoją rękę. I tu, w Rawie, napadnięto dwudziestu piechoty i piętnastu huzarów. Jednemu z nich, właśnie porucznikowi Schmidtowi, on sam głowę rozpłatał pałaszem. Ktoś usłużny z Rawian wskazał jego nazwisko. Zrobił się gwałt za napaść. Na usługach pruskich będące sądy, odsądziły go od czci i wiary, na wyrok śmierci skazując. Po Maciejowicach, gdy chciał wracać do stron rodzinnych — tu, pod Rawę... nie mógł. I powlókł się oto na tułaczkę w świat... Dziś sądził, że niepoznany przez obcych, prześlizgnie się do domu i dalej, do Warszawy spokojnie dotrze... gdy oto spotyka znów tego samego Schmidta! A może go nie pozna?! Ryzyko zbyt wielkie. Boć nie o jego życie tu szło tylko, lecz o papiery, o ekspedycyę do księcia! Dotychczas porucznik szczęśliwie unikał bliższych indagacyi, paszporty, legalizowane w Berlinie otwierały mu wszędzie szlabany od Poznania aż do Konina i Kutna, tu jednak sprawa mogła być cięższą! Najmniejsze podejrzenie wtrąciłoby go do więzienia, a cóż dopiero oskarżenie Schmidta!
Porucznik sięgnął w zanadrze i trącił z lekka Żubra. Stary podoficer zrozumiał znak, bo przerzuciwszy lejce

do lewej ręki, prawą opatrywał pistolet.

— Żubrowa!? — szepnął porucznik, zwracając się ku babie. — W łeb!

— Tego z tyłu!? Już go ściągnę!

Nastąpiła krótka pauza, a po niej ostry głos porucznika:

— Pal!

Trzy strzały padły równocześnie i trzech jadących najbliżej wózka huzarów potoczyło się z koni na ziemię. Pozostali osłupieli na razie, lecz nie tracąc przytomności podskoczyli do wózka z podniesionymi w górę pałaszami. Baba i furman zdążyli umknąć na ziemię, nad głową porucznika zawisło ostrze pałasza. Lecz szybkim ruchem zdołał uchylić się na bok i uniknął cięcia. Rozwścieczony huzar zamierzył się po raz wtóry, lecz równocześnie znalazł się w żelaznym uścisku starego Żubra. Drugi huzar nawrócił kónia i usuwającego się porucznika zawadził po ramieniu końcem szabli, lecz w tejże chwili padł nowy strzał i kula przeszyła plecy huzara. Piąty chciał natrzeć z drugiej strony na porucznika, lecz widząc czterech towarzyszów rozciągniętych na ziemi, spiął konia ostrogami i pomknął ku Rawie. Żubr tymczasem cisnął coraz gwałtowniej swego przeciwnika. Próżno huzar wił się i starał uchwycić za gardło podoficera. Siły go opuszczały, mdlał prawie w stalowym uścisku, wypuściwszy z rąk cugle i słaniając się bezwładnie z konia. Naraz Żubr jęknął przeciągle. Baba, która właśnie w tej chwili położyła trupem huzara, podbiegła do walczących.

— Jeszcze się z tym robakiem mordujesz?! — zakrzyknęła.

— Gryzie! — jęknął z bolu Żubr.

— Poczekaj! Nakarmię ja go zaraz.

To mówiąc, sięgnęła do olster huzara, wyciągnęła krucicę i strzeliła huzarowi prosto w usta.

Żubr odetchnął swobodniej. Otarł zimnym potem zroszone czoło, sięgnął ramienia i syknął przeciągle.

— Co ci to Macieju!? Skaleczył?... — pytał niespokojnie porucznik, gramoląc się z drugiej strony wózka.

nie spała, czekając powrotu niefortunnego gościa. Nie czyniąc wyrzutów, wskazała mu posłanie w komorze, a sama pogrążyła się w swojej trosce.

Porucznik jak stał, tak legł na posłaniu. Ciężkie myśli trawiły go długo i sen z ociężałych powiek spędzały. Młodość atoli zwyciężyła w końcu, i porucznik zapadł w sen głęboki, niespokojny.

Słońce było wysoko, gdy Floryan otworzył powieki. Oczy przetarł, myśli zebrał, mary okropne wspominając. Niestety, rzeczywistość przedstawiała mu się niemniej ponuro i smutnie. Podniósł się zwolna z posłania, spojrzał w małe okienko, na jasnem tle którego rysowała się w oddali wysmukła wieżyca kościoła farnego, i zadumał się.

Nagle, z poza niedość szczelnych drzwi sąsiedniej izby, doszedł go gwar przytłumionych głosów, wśród których najwyraźniej rozlegał się srebrny śmiech pułkownikówny. Porucznik drgnął i zaczął nadsłuchiwać. Najwyraźniej ona. Czyżby to snem było?! Nie zwlekając, rzucił się do porządkowania odzieży. Jeden i drugi dzbanek wody chlusnął na twarz i znów nadsłuchiwał, iżali ten odgłos nie był złudzeniem. W końcu poprawił wąsa, pogładził czuprynę i otworzył drzwi.

Cichy śmiech pułkownikówny powitał go w progu. Spojrzał przed się Floryan i oniemiał. Przy stole stał smukły mężczyzna w obcisłym półwojskowym stroju, bawiąc się niedbale srebrną szpicrutą. Rzucił okiem porucznik na twarz nieznajomego, twarz jasną, pogodną, okoloną czarnym, bujnym zarostem, o wysokiem czole, równym, klasycznie zarysowanym nosie, i zdało mu się, że śni.

Nieznajomy podniósł swe głębokie, ciemno-niebieskie oczy na Floryana i ozwał się uprzejmie:

— Witam waćpana, mości poruczniku!

— Mości książę! — bąknął pomieszany porucznik.

— Takiegoś do mnie ordynansa wyprawił, że, jak widzisz, stawiłem się natychmiast! No, no! Winszuję waszmości, już to nielada w pannie pułkownikównie masz rzecznika a obrońcę!... Impet ma... o czem mój pokojowy

najdotykalniejsze bodaj ma wyobrażenie! Zwracam ci, poruczniku, wdzięcznego ordynansa, a oszczędzaj go, bo tego warta!...

Porucznik jął się sumitować. Książę przerwał mu dobrotliwie:

— Mości Gotartowski! Wiem o waści, a to, co mi generał wspomina o nim, sambym dla siebie za chlubę uważał. Wieczorem proszę do mnie na pokoje! Pani pułkownikowej raz jeszcze gratuluję córki, a jeżeli okazya się zdarzy, w drużby się zapraszam.

To mówiąc, książę uścisnął rękę pani Dziewanowskiej i wyszedł.

Porucznik nie posiadał się z ukontentowania, skoczył do rąk Zośki i zaczął je pożerać całusami. Dziewczyna się wyrywała niby i płoniła. Pani Dziewanowska aż skoczyła z podziwu.

— A to dopiero niecnota! A zasię mi od córki, lamparcie włoski! A zasię! — wołała rozradowana.

Floryan z kolei przypadł do ręki matki.

— Pani a dobrodziejko — mówił wzruszony. — Darujcie, nie moja wina, alem w jassyr wzięty! Ot, córuś wasza nietylko mi one papiery zabrała, lecz i serce, i myśli, i duszę!...

— Hola! Waszmość! — rzekła z powagą pułkownikowa. — Nie tak gorąco, nie zapalczywie, aby się na słomianym nie skończyło ogniu! Zobaczymy, zobaczymy... poczciwyś widzę, a bo i z dobrego gniazda!... Czas wam — nie dziś przecież i nie jutro!...

— Choćby dzisiaj — pani pułkownikowo! — zawołał ogniście porucznik.

— Wiem ja, wiem! Nic z tego... chciałbyś ją może z nową ekspedycyą do Austryaków na zmianę wyprawić!...

— On nie taki, mateńko! — szepnęła Zośka, tuląc się do pani Dziewanowskiej.

— Skąd wiesz? ty, ty!... Matce narobić takiego utrapienia a zgryzoty i dla kogo? Bałaś się, żeby go gdzie nie zastrzelili?... Małoż to na świecie takich zuchów, a

matka zawsze jedna!

Na tę scenę wszedł Jan Dziewanowski. Radość była wielka. Zośka musiała opowiadać szczegóły nocnej wyprawy. Jak na rogatce na wieść, że do Jabłonnej jedzie, żegnano ją drwinami a uśmiechami, jak pod Żeraniem zdało się jej, że ktoś za krzakiem się czai, jak wreszcie po nocy dopadła pałacu. do którego ją wpuścić nie chcieli i jak ją z należnymi względami przyjął książę...

— A o jakim to pokojowcu wspominał książę? — wtrącił znienacka Floryan.

Pułkownikówna zawahała się, pobladła, w końcu odrzekła śmiało:

— Wytrzymać nie mogłam!... Wprowadzili mnie do przedsionka. Tłómaczę się, że przejeżdżam z ważnem posłaniem z Warszawy... Pachołków było kilku. Ja mówię, oni trącają się i w śmiech! Ręka mi zadrżała i, nie wiele myśląc, bęc w papę najbliższego! Na to wybiegł książę...

— Palnęłaś go?

— Palnęłam, mateńko!

— To się mój nieboszczyk Michał aż chyba w grobie obrócił ze śmiechu!

— Krew, krew pani dobrodziejko! — powtarzał porucznik, z ukontentowaniem tonąc w spojrzeniu pięknej pułkownikówny.

— A waści gniadosz tęgo niesie! — zauważyła Zośka.

— Zna służbę! Niechby skrewił, zatłukłbym go pewnie. Prusak, jeno szelma... huzarski! W drodze od Rawy dwóch takich mi omdlało i trzeci bułanek matczyny.

— Co tam konie! — przerwał raźno Dziewanowski. — Trzeba się stąd czemprędzej wynosić!... Całe miasto już mówi o waćpana przyjeździe! Ani chybi, będą myszkowali. Generał do mnie przysyłał, ofiarując mu u siebie gościnę. Pani stryjenka zaś może na moją kwaterę pozwoli... uboga, jak u kawalera-samotnika takiego. Kiedy inaczej nie można!

Zasmucił się porucznik. Niesporo mu było się wynosić. Nadąsała się Zośka, zafrasowała pani Dziewanowska.

Jan nalegał — trzeba było ustąpić.

Tegoż dnia, wieczorem, Floryan udał się do księcia Józefa Poniatowskiego. Książę przyjął go w pięknym gabinecie, zdobnym w alegoryczne freski, a zastawionym mnóstwem kosztownych cacek. Był zamyślony i posępny. Skinął przyjaźnie porucznikowi i o szczegóły, odnoszące się do armii Napoleona, ostatnich wypadków z włoskiej kampanii, wypytywał... Od czasu do czasu przerywał Floryanowi tok opowiadania i gorączkowo mierzył wielkimi krokami gabinet. Porucznik skończył mówić. Książę zamyślił się, a po długiem milczeniu zaczął nerwowo:

— A nie myliż się twój generał?... Wiem, Dąbrowski, to wielki żołnierz i wódz, cenię go więcej, niż mu się zdaje... pomimo że mi był niechętnym!... Dobry patryota i obywatel kraju, lecz czy politycznych wybiegów nie za dobrą poczytuje monetę! Sława Napoleona go olśniła, ja się jej obawiam. Wahałbym się na niej przyszłość moją opierać, a cóż dopiero losy całego kraju składać! Zapał go unosi!... Tyle krwi przelanej hen na polach Marengo... co Marengo jedno? Cała Italia nasiąkła krwią legionów i Egipt i S. Domingo!... Jabłonowskiego wyrozumieć nie mogę: przez zgnębienie biednego ludu, spokojnych wyspiarzy, chciał korzyści, chciał wolność własnej ziemi dobywać?! Nie! Nie ufam ja temu nowemu słońcu... Gdzież zresztą są gwarancye!? Pokażcie mi dokument! W Berlinie z Wybickim Józefem rozmawiał!... Zacny to mąż, lecz czy nie porywczy? Cesarz powiedział pono — że „zobaczy, czy godni jesteśmy być narodem?!!“ A myż mamy na tych pustych słowach budować gmach naszych swobód?! Napoleon jest wielkim politykiem, a myśmy nigdy politykami nie byli... Idzie tu, do nas, bo go losy wojny do tego zmuszają... lecz przy zawarciu traktatu wymieni nas za uchwalenie jednego upokorzenia więcej dla nienawistnej mu Anglii!!... Czyż nie tak?!

Floryan, zachęcony rzuconem pytaniem, a poruszony tak ostrym sądem o ubóstwianym przez niego Napoleonie, wybuchnął nagle:

— Wasza książęca Mość! Jam nie statysta, nie mąż,

który od lat młodzieńczych przywykł losy narodów ważyć a rozpatrywać. Mówię co na sercu, z czem lat tyle tułałem się po krajach... W którąż się stronę mamy zwrócić? Dokąd o pomoc udać? — nie jest-że on ostatnią naszą deską zbawienia i ratunku, co nasze nieprzyjacioły zwalcza?!...

— Zgoda na to — pochwycił żywo książę. — Lecz miejmyż odeń zapewnienie, poręczenie!... Żąda od nas wojska, krwi naszej, niechże się dowiemy za co? Waszmości wyda się takie żądanie frymarkiem! Niestety, na frymarku takim taka mądrość polityczna polega. Dąbrowski ani Wybicki nie rozumieją, że nie my Napoleona, lecz on nas w tej chwili najmocniej potrzebuje... i miast stawiać żądania, proszą, miast dyktować punkty ugody, traktatu, kontentują się krzywdzącymi naszą godność frazesami dumnego zdobywcy!... Nie, poruczniku, ja do tej sprawy przyłożyć ręki nie mogę. Za złe ci nie biorę zapału, z jakimbyś chciał Bonapartego bronić. Widzisz w nim wodza, prowadzącego armię do zwycięstwa i sławy, a sam żołnierzem jesteś! I ja mam dlań wyrazy uwielbienia, jeno gdy o naszej doli smutnej myśleć przestaję... Zresztą — dodał ze smutkiem — bądź waszmość spokojny... książę Józef Poniatowski nie stanowi narodu... Znajdą się inni, którzy wszelkim jego żądaniom zadość uczynią! Taką odpowiedź zanieś generałowi. Piłatem być nie chcę, lecz sumienie wzbrania mi ważyć sprawę narodową na niepewne. Bacz, że dawnoż z tym samym Prusakiem pacyfikował? Nie dość mu legii włoskich? On od nas jeszcze żąda dowodów!? A wzamian daje nam czcze słowa i to jeszcze mgliste a niejasne!...

— Wasza Książęca Mość daruje śmiałość — ozwał się gorąco porucznik. — Słowo czasem więcej znaczy od najlepiej ułożonych punktów. Kto nie strzymuje słów, ten i traktaty deptać potrafi. A mocarz taki lada czego nie wymówi, boć każdy wyraz jego historya na szali waży...

— W sednoś trafił, mości poruczniku! — przerwał książę Józef. — Owóż właśnie odpowiedzialność przed historyą, przed potomnością nakazuje krok każdy ważyć...

Daj mi pismo Napoleona, jasno wyrażające, czego żąda, a co dla nas uczynić się zobowiązuje, a gotówem dziś na skraj świata iść za nim!... A choćby nie dopełnił przyrzeczeń, choćby smutne z tego wynikły dla nas termina... nikt na nas kamieniem nie rzuci!... Ale... co wam po Poniatowskim!?

— Krew nasza, królewska! Chluba rycerstwa! — odparł z zapałem Floryan.

Poniatowski uśmiechnął się dobrotliwie i rękę położył na ramieniu porucznika.

— Dziękuję waszmości! Teraz sobie dopiero go przypominam! Byłeś pod Marymontem... Jeno nie wszyscy tak myślą! Znać, żeś prosto z legii przybył... Zapytaj się o mnie tu, na miejscu, w Warszawie. Za sługę pruskiego mnie mają, o konszachty z Austryakiem posądzają... Co smutniejsze, stronią od tej mojej Blachy!

Książę uśmiechnął się gorzko.

— Generał się pomylił... moje imię mogłoby może zepsować zamysły... Sąć godniejsi, wierniejsi synowie ojczyzny, co nie kalają obyczajów! Dlaczego pomijacie Naczelnika?

— Wasza Książęca Mość, właśnie naczelnik wydał proklamacyę...

— Cha! cha!... Mości Gotartowski! Dowiedz się, że ten zniewieściały a rozbawiony „Pepi“, jak mnie tu nazywają, także ma wyobrażenie, co się na świecie dzieje!

To mówiąc, Poniatowski odsunął szufladę sekretarki, wyciągnął zeń papier jakiś i podał Floryanowi.

— Czytaj waść... znasz wszak język francuski!

Porucznik rozwinął papier. Ze środka wypadła drukowana proklamacya.

— Czytaj! Czytaj! — nalegał książę Józef. — Nie ten świstek znany ci, jak mówisz, — jeno pisanie naczelnika.

Gotartowski oczom nie wierzył. Kościuszko ostrzegał księcia, że Lafayette zwiastował mu, jakoby ukazały się jakoweś wezwania z jego — Kościuszki — podpisem. Otóż on żadnych wezwań nie podpisywał. Był to podstęp

ministra policyi Fouchego.

Porycznik skończył czytać. Poniatowski zagadnął spokojnie:

— No — zrozumałeś, mości poruczniku?!

— Niegodny podstęp!

— Pojmujesz teraz komu zależy?! Dziwisz się, iż nie występuję dotąd?... Ba! Ledwie kilka dni, jak pisanie to przyszło, i jakże zresztą to uczynię? Köhler zezwoli na coś podobnego? Owszem, jeżeli do sojuszu z Prusakami namawiać będę. A czyż mogę na krok taki się ważyć? Ktoby tu uwierzył? Pani Vauban — chyba! Szkoda!! Rozprzężeni jesteśmy dzisiaj, każdy na swoją rękę inną politykę prowadzi. Wam, żołnierzom, pilno do rang i zaszczytów... a przecież są inni, którym bezczynność... więcej zdrowia odejmuje niż wam niewywczasy wojenne a kule nieprzyjacielskie!... Długoby o tem można mówić... Wiesz teraz, słyszałeś, oto mój respons! Później... kto wie, jak się wypadki ułożą, teraz jednak ani myśli, niech generał czyni bezemnie. W końcu, mogę się mylić... Więc słuchaj, mości poruczniku, listy generała weź z powrotem, przedstaw je marszałkowi Małachowskiemu, nie tając mej odpowiedzi... Niech je i oni rozważą... Rada u pana Wojczyńskiego może co innego postanowi...

— Mam właśnie kwaterę u generała! — wtrącił porucznik.

— A... tak! Już cię znaleźli! Hm, zacne grono, mężowie zasłużeni! Spiesz-że, mości poruczniku, czasu nie trać... Miło mi było poznać waszmości! Racz generałowi Dąbrowskiemu pozdrowienia moje wyrazić...

Z głową przepełnioną myślami wyszedł Floryan od księcia Józefa. Takiej odeń odpowiedzi się nie spodziewał. Racye Poniatowskiego, choć może głębokie, nie wydawały mu się słusznemi. Nie ufać Napoleonowi?... Więc komuż nareszcie wierzyćby należało?... Żołnierz duszą i ciałem, wspaniały, szlachetny, wódz niepokonany... którego sława a potęga rozbrzmiewa na krańcach świata, miałby nie stanowić rękojmi... A może książę inne miał zamysły?!... Kto wie, iżali Poniatowski nie idzie za przykładem „fa-

milii", może na stronę dworu petersburskiego się skłania? Wspominał o Köhlerze i Prusakach! Czyżby go minister Hoym nie pozyskał dla swoich spraw?!

Gdy porucznik zjawił się w kilka chwil później u generała Wojczyńskiego, zastał był już walne zebranie komisyi rozpoczęte. Radzono właśnie nad wysłaniem imieniem Warszawy poselstwa do Napoleona, aby swego zwycięskiego pochodu nie wstrzymywał, lecz szedł dalej podać rękę wiernemu a uściśnionemu narodowi, który na pierwszą wieść o jego zbliżaniu się wita go całem sercem, jako swego zbawcę i oswobodziciela.

Wejście porucznika wywołałe małe zamieszanie — ten i ów śpieszył uścisnąć rękę Gotartowskiego. Wszyscy nań spoglądali jako na żołnierza tej wielkiej a zwycięskiej armii. Gdy się uciszyło, Floryon wręczył Stanisławowi Małachowskiemu oddane mu przez księcia listy generała Dąbrowskiego.

Marszałek zaczął je czytać na głos. Cisza zaległa izby dworku.

Dąbrowski przedstawiał księciu, jako cesarz, po długich z nim a posłem Józefem Wybickim debatach, raczył się nakłonić do wkroczenia w granice Polski w trzykroć sto tysięcy wojska. Że zamiarem niewątpliwym jest Napoleona, aby kraj ten wskrzesić i do dawnej świetności powołać, że urzeczywistnienie tego zamiaru spoczywa całkowicie w ręku Polaków, o których wierności a oddaniu chce się cesarz naocznie przekonać, że Wybickiemu oświadczył wręcz, że jeżeli zobaczy, iż Polacy godni są być narodem, będą nim. W końcu Dąbrowski zachęcał do jak najszybszej agitacyi i rozpoczęcia przygotowań do zbrojnego powstania. — „Niech zobaczy cesarz — pisał Dąbrowski — powstające pułki a dywizye, niechaj ofiarność obywateli w tej stanowczej chwili nie uchyla się przed niczem. Szlachta, mieszczaństwo, lud niechaj stają w szeregach lub niech się sposobią. Lada dzień ruszamy do Poznania. Każda zwłoka, każda minuta na kunktatorstwie strawiona, może srogą krzywdę wyrządzić całej ojczyźnie."

Małachowski skończył czytać. Przez chwilę panowało uroczyste milczenie, aż naraz z piersi kilkudziesięciu zebranych dobył się jeden wielki okrzyk:

— Niech żyje cesarz! Wiwat konfederacya! Mości panowie do broni!!

Ściskano się za ręce. Padano sobie w objęcia. Floryan był przedmiotem ogólnych owacyj. Starszyzna tymczasem podawała sobie listy generała Dąbrowskiego, zastanawiając się nad każdem słowem a rozbierając je. Zaczęto się skupiać w gromadki a perorować zapalczywie. Tumult się wzmagał coraz większy. Naraz Małachowski głos podniósł. Powaga starego marszałka sejmu wnet górę wzięła.

— Mości panowie! — rzekł. — Chwila urzeczywistnienia najdroższych nam nadziei a oddawna pieszczonych postanowień się zbliża. Pismo generała Dąbrowskiego jest może ziszczeniem tego, co wczoraj jeszcze snem nam się wydało. Nie pora na próżne rozprawy! Do dzieła, mości panowie! Niech on wielki mocarz zastanie nas przygotowanych... do pójścia za jego przewodem!... Baczność jeno zalecam. Nie zapominajmy o sługach króla Fryderyka... Ergo, mości panowie, poczynajmy sobie rozważnie, abyśmy zbytkiem zapału tak ważnej nie zepsowali sprawy! Proponuję upoważnić starszyznę do przedsięwzięcia rady nieustającej, przed uchwałami której pierwszy uchylam głowę. Każdy z nas tutaj wielką ufność pokłada w osobie generała a gospodarza naszego, co dla dobra publicznego ważyć swej głowy i mienia całego się nie zawahał... niechże on tedy do siebie przybierze tych, których obecność w radzie za potrzebną uważać będzie! Zgoda mości panowie!?

Zgoda! Zgoda! — wykrzyknięto do okoła.

Zaczem generał Wojczyński wystąpił i, wodząc okiem po zebranych, nazwiska co przedniejszych wymieniał, do ubocznej zapraszając izby. I szli: marszałek Stanisław Małachowski, Michał Kochanowski, minister Tomasz Ostrowski, panowie Ignacy i Walenty Sobolewscy, Graf Joachim Moszyński, pułkownik Siemianowski, Aleksander

Potocki, Gutakowski, Giełgud, ksiądz Woronicz, Stanisław Ledóchowski, Świdziński, Grotowski, Szydłowski, książę Ludwik Radziwiłł, Kalinowski i Samuel Bronikowski.

Generał Wojczyński przyzwał był i porucznika Gotartowskiego, lecz ten wyprosił się od uczestnictwa w radzie — służby jeno swoje polecając. Wojczyński sercem przyjął skromne wymowienie się Floryana i nie nalegał.

Kiedy starszyzna ustąpiła — gwar znów powstał w izbach a hałas. Brat generała, pan Ignacy, uwijał się jak mógł a spokojność zalecał; nie na wiele się to zdało. Młodzież szczegolniej ochoty wstrzymać nie mogła, a Gotartowskiego zwartym osaczyła kołem, każde jego słowo chciwie chwytając. Nadto Floryan spotkał tu był dwóch Jordanów, co mu dalekimi krewnemi byli, i braci Marskich, kolegów z konwiktu Pijarów w Piotrkowie, z tego zdawna słynących, że bliźniętami będąc, tak nadzwyczajnie do siebie podobnymi byli, że rodzona matka rozróżnić ich nie mogła. Przytem Jan Dziewanowski, który wśród młodzi rej wodził, zapoznał Gotartowskiego z kapitanem W osińskim, Józefem Stadnickim, Sewerynem Fredrą. Wincentym Todwenem, Jędrzejem Niegolewskim i Piotrem Wasilewskim.

Pan Ignacy Wojczyński tymczasem, widząc wzrastającą ochotę, cichaczem od strony Leszna rozstawił pachołków, aby dali baczenie na nieproszonych gości, a sam z pacholikiem do piwniczki zeszedł i baryłkę miodu wytoczył. A potem, cicho krążąc między zebranymi, miód w szklanice rozlewał, szepcąc co chwila:

— Już to mnie bura od pana brata nie minie, lecz przecież zdrowie wielkiego Napoljona wznieść się godzi!...

Słowa staruszka przyjęto z ukontentowaniem, przepijając po cichu aby, dystrakcyi nie czynić.

Między młodzieżą wszczął się był żwawy spór o Poniatowskiego. Opowieść Floryana o pochodzeniu listów generała Dąbrowskiego sprawiła silne wrażenie. Większość, przyjazna księciu Józefowi, objawiała wielkie zdziwienie, reszta dosyć ostro występowała prze-

ciwko Poniatowskiemu. Zwłaszcza Hermelanus Jordan gromił zawzięcie księcia.

— Florek — mówił gromko, podnosząc wielkie swe pięści w górę. — I tyżeś to strzymał wszystko a wysłuchał? Paniątko takie, od morza do morza; spódniczki mu tylko w głowie dzisiaj i koniec!... Jemu Napoljona sądzić!!...

— Daj pokój! — mitygował Dziewanowski. — Dla słabostki gotów jesteś odsądzić go od wszystkiego!...

— Tak! tak! Żołnierz to nielada! — potwierdzili inni.

Starszy Jordan, któremu szklanica miodu zaszumiała w głowie, upierał się przy swojem.

— Janie od morza do morza! Więc on, luminarz taki, dzisiaj, kiedy armia idzie i od morza do morza!... Nie!... Sfrancuziały paniczyk, królewiątko rozkapryszone... jać powiadam od morza do morza i koniec!...

Nie tak gorąco! Nie tak gorąco! — ozwał się surowo Seweryn Fredro. — Czołem przed rzetelną zasługą! Gdyby kraj ten miał więcej takich oficerów, nie potrzebawalibyśmy oglądać się waścinego animuszu!

— Ani luterskich wysłuchiwać kazań! — odciął się Jordan.

Fredro porwał się z miejsca.

Kapitan skoczył uspokoić zwaśnionych.

Fredro domagał się zadośćuczynienia. Dziewanowski przekładał zgodę. Pośród zgiełku a hałasu — wskoczył tymczasem jowialista wielki a oficer szanowany, Imć pan Wosiński, zakrzyknął znienacka:

— Głupstwo panowie szlachta!

A gdy zebrani, zaskoczeni tem zawołaniem, uciszyli się nieco, zwłaszcza, że od Wosińskiego zwykli byli się nielada konceptu spodziewać, kapitan zaczął powoli:

— Horret animus, moć panowie, że kiedy jeszcze na odwachu Prusak sobie chodząc einzzweidraiduje, a Imć Köhler tabakę najspokojniej pociąga, kiedy armia francuska ledwie w Berlinkach rozsmakowała, my tu poczynamy sobie de noviter czteroletnie obrady, huczno,

buńczuczno, a jak z groźnie zmarszczonych brwi pana Seweryna Imci wróżyć się ośmielę, z niemałą ku wszelakiej strzelaninie a okaleczeniu sympatyą! Starszyzna radzi, a młodzi w zwadzie szukają dla swej ochoty dywersyi. Pierwsze mi nie p omyśli, drugie nie po sercu. Co panowie rada postanowią — to ich rzecz. Mnie ostał stary obyczaj, że gdy gość w dom nadchodzi, ojcowie spotykają go na progu, a młódź to i przede opłotki naprzeciw wybieży. Tandem — moć panowie... miast językami świat krajać, oblicza sobie wzajem szczerbić, a kto większy patryota sobie przymawiać... ruszajmy w drogę! Bez zwłoki, natychmiast, dziś jeszcze do wielkiej armii! Do Francuzów!!...

— Wiwat Wosiński! do wielkiej armii! Do Francuzów!! — odpowiedziano chórem.

Wosiński odsapnął nieco i tak rzecz swoją zakończył:

— Moć panowie! Zbierać się, jak kto może! W pojedynkę, dwójkami, trójkami, już pół tuzina unikać. aby zdala ominąć dwunastkę z Judaszem... Żadnych oficerów, żadnych naczelników, pieszo, konno, kołowo, z gwintówką czy szerpentyną, karabinkiem czy krócicą, aby naprzód, aby spotkać! Uchodzić nie hurmem, nie w jednej godzinie, bo snadnie mogliby nam Prusacy uroczyste pożegnanie wyprawić, który to objaw amicycyi nie każdemu byłby na rękę... Ja dziś ruszam, a gdzie?... Pod Berlin!...

— I ja! I ja! — ozwały się zewsząd głosy.

Słowa kapitana Wosińskiego padły niby iskra na mocno nasiarkowane lonty. Głowy młodzieży rozgorzały, zapaliły się serca. Co chwila ochotnika przybywało. Pan Ignacy Wojczyński aż ręce łamał na widok co się dzieje, chciał tłómaczyć, przekładać, aby bez starszyzny na nic się nie ważono. Nie słuchano go nawet.

Zdesperowany poszedł dać znać bratu, co się dzieje. Rada ruszyła do izb. Giełgud jął tłómaczyć, że jeno w karności a jednolitości cała przyszłość, Gutakowski do zaufania w postanowienia starszych skłaniał. Aliści, w gronie samej rady powstało wnet rozdwojenie. Oto ksiąd

Woronicz ujął się za młodzieżą.

— Niech idą! — tłómaczył.

Próbowano radzić jeszcze, lecz gdy w końcu Małachowski życzliwym się okazał zamiarom Wosińskiego, nie odwodzono więcej, zalecając jeno ostrożność wielką a rozwagę w przedsięwzięciu.

Starszyzna znów ustąpiła do izby narad. Generał Wojczyński pogroził jeno bratu Ignacemu za... miód, a Floryana na bok odciągnął.

— A Waszmość poruczniku? — zagadnął żywo. — Zostaniesz z nami?!... Czy...

— Wracać muszę generale, sprawę zdać...

— Spodziewałem się takiej odpowiedzi... Jedź! Pisma wnet ci wygotujem! Ostrowski stary, niechętny wielce wszystkiemu, ale mniejsza. Wspominać niema co, sam zmieni zdanie. Resztę widziałeś... Wre tu u nas i kipi oddawna... Wielkich przygotowań nie potrzeba. Plany gotowe. Gwardya, milicye ułożone. Tysiączniki a setniki są. Te zapalone głowy szyki nam trochę pogmatwają, lecz dziś jeszcze ich się zastąpi. Mieszczaństwo rwie się. Lada chwila spodziewamy się nadejścia Deckerta. Żal mi Waszmości! No, wypocznij sobie jeszcze. Za godzinę, za dwie, papiery będą... Radzę ci towarzysza jakiego przybrać, bo te zuchy Warszawę znają na wylot. A podobno nie tak łatwo z niej się wydostać.

Gotartowski zwierzył się Dziewanowskiemu z czekającej go podróży. Pan Jan, któremu także uśmiechała się wycieczka naprzeciw Francuzów, ofiarował się mu towarzyszyć. Floryan ucieszył się serdecznie z niespodziewanego kompana. Na to zbliżyli się Jordanowie, a i kapitan Wosiński, który dowiedziawszy się, że porucznik rusza zaraz w drogę, oświadczyli się iść z nim także.

Zaczęto wnet układać plan wyprawy. Ciekawi skupili się dokoła, ten i ów napraszał się iść razem, osobliwie młody a wątły Stanisław Gorajski, spokoju im uie dawał. Wosiński atoli oparł się temu stanowczo.

— Czterech już nadto! Zastanówcie się! Chcecie,

by was pierwszy lepszy patrol na bigos posiekał.

Zaczem uradzono, że o północy stawią się wszyscy u generała i stąd ruszą bocznemi ulicami ku Raszynowi pieszo; a dalej przedzierać się będą, jak się uda... Każdy miał w broń się opatrzyć co poręczniejszą, bez karabinków i widoczniejszych mantelzaków, aby wyglądu zbrojnego nie przybierać. Teraz zaś każdy miał co duchu śpieszyć i do drogi się gotować,

Floryan odciągnął Dziewanowskiego na stronę. Projekt wyprawy pieszo nie wydawał mu się szczęśliwym. Czasu zmitręży wiele. A tu pacholik konie musiał już pewno z Jabłonnej przyprowadzić. Dziewanowski więc mógłby jechać z nim — stajenny zaś wróciłby do Gortatowic. Pan Jan jął odwodzić Floryana od tego zamiaru. Konno wyjeżdżać z Warszawy, to znaczyło prawie kłaść dobrowolnie głowę pod miecz. W rezultacie niema mowy, aby piechotą wędrować pod Berlin. W drodze sposób się znajdzie.

Gatartowski ustąpił i jeno z pożegnaniem do pani Dziewanowskiej iść się napierał. A ponieważ pan Jan i tak musiał do swoich izdebek wstąpić, przeto poszli razem.

Na pierwsze słowa Flaryana o czekającej go znów podróży, pani Dziewanowska aż ręce załamała:

— Co waszeci w głowie!! Chyba licho cię jakieś napadło... Ledwie pół dnia minęło... znów w inną stronę świata! Et! Aż mnie złość ogarnia! Wczoraj spadł jak z nieba, narobił zamieszania, aż człek musiał z rupieciami wszystkiemi się przenosić... i masz ci teraz nowinę!

— Pani pułkownikowo dobrodziejko — odrzekł smutnie porucznik. — Bogiem się świadczę, że z wami wolałbym zostać... a sercem pewnie, że zostanę...

Tu Floryan spojrzał żałośnie na zaczerwienioną twarzyczkę Zośki. Pani Dziewanowska obruszyła sie znowu:

— Farmazońskie wykręty! Już to waćpan słowem zawrócić z miejsca potrafisz, nie darmoś pół świata schodził...

— Pani stryjenko — wmieszał się pan Jan — nie winujcie. Służba go do nas przyprowadziła, służba zabiera... Co więcej i ja z imć panem Floryanem muszę.

— Janek? Ty!? A ty gdzieżeś znów potrzebny?!...

— Do Francuzów — pani stryjenko!

Tu Dziewanowski jął tłómaczyć wszystko pułkownikownej, zapewniając ją uroczyście, że tylko patrzeć, a z Napoleonem powróci.

Pani Dziewanowskiej łzy się zakręciły w oczach.

— Oj! Wrócisz ty niebożę! Znam ja te wasze żołnierskie „wrócę"... Długo było cicho a spokojnie! Znów zawierucha... a bodaj ich tam i tego Napoleona!... Już nikogo teraz na świecie nie będziemy miały! Zośka?! Słyszysz? Nikogo!

Zośka nic nie odpowiedziała. Oczy spuściła, zęby zacisnęła kurczowo, a wargi jeno jej drżały. Dziewanowski zaczął uspokajać pułkownikową a tłómaczyć. Floryan zbliżył się tymczasem do Zośki i zagadnął zcicha:

— I za co waćpanna gniewasz się a boczysz na mnie?!... Cóżem zawinił, że już i wejrzenia poczciwego zdajesz się mi skąpić?!...

Z ócz pułkownikówny wytrysły ognie.

— A cóż waćpana to może obchodzić!?... Przyjechałeś... odjeżdżasz!... I dobrze! Czy to Waszeci kto tu... wiąże!?

— Prawda! Supozycye moje były może nazbyt śmiałe! — odrzekł drżącym głosem porucznik. — Ową podróż waćpanny do Jabłonnej nie samej tylko fantazyi śmiałem przypisywać... A na ciężką drogę, choć dobre słowo... spodziewałem się otrzymać...

— Dobre słowo! Dobre słowo! — odparła z przekąsem Zośka, targając rąbek fartuszka. — Pewnie, że to waszmości wystarczy!...

Floryan pokraśniał i do ręki jej przypadł. Pułkownikowa porwała się z miejsca.

— A mości Gotartawski! Tego już nadto! Może to u was, legionistów, rzecz zwykła, ledwie w domu się pokazać, a już obcesz do panny... a na drugi dzień znów

w inną świata stronę pomknąć!

— Pani dobrodziejko...

— Nie tłómacz się Wasze! Zośka! Marsz do drugiej izby...

— O, cóż bo znowu, pani matko! — odrzekła pułkownikówna. — A toż mnie nie uroczy!

— No, i masz ci los! Chowaj tu lata całe, chuchaj, dmuchaj! Taki pędziwiatr się zjawił i łap, już mi i serce dziewczyny gotów zabrać!!...

Floryan chwycił panią Dziewanowską za rękę:

— Pani pułkownikowo dobrodziejko! Córki mi waszej nie odmawiajcie!... Wiekibym się stąd nie ruszył... obowiązek niewoli. Da Bóg, powrócę wkrótce, a już was nie opuszczę. Synem waszym się stanę!...

Pani Dziewanowska potrząsnęła smutnie głową:

— Mój chłopcze! Dobrze ci z oczu patrzy, ale w taki czas niespokojny, kto wie, co się stać może!

— Skądże bo panią stryjenkę ogarniają takie smutne medytacye! — wtrącił pan Jan. — Toż nie rok i nie dwa!... Miesiąc nie minie, a porucznik stawi się, jako należy, w pełnym mundurze!

— Nie! Nie! — upierała się pułkownikowa. — Żadnych przyrzeczeń, żadnych przysiąg! Zośka, słyszysz?! Ani jam waćpanu krzywa, ani zamysłów żadnych nie mam. Nie chcę jeno, abyście się wiązali... Kto wie, co się stać może? Dziewczyna gotowa mi się zmarnować! Tak, tak! Od tego już nie odstąpię ani kroku. Jedź waćpan z Bogiem... wracaj rychło... a jak wrócisz, to i rzecz się ułoży.

Porucznik chciał dziękować. Pani Dziewanowska nie dała mu przyjść do słowa.

— Niema czego, ani za co! Żadnych obietnic! A teraz proszę waszmości, byś wolę krewnej szanował!!... Dosyć tego! Macie jechać, niechże wam posiłek zgotuję jaki. Trudno to będzie, bo w tym kramie i nieładzie nie wiadomo, gdzie czego szukać. Ale na głodnego puścić was nie mogę.

Pułkownikowa zakrzątnęła się żywo. Dziewanowski

opatrywał broń a sposobił sobie zawiniątko. Floryan, ścigany co chwila bacznem okiem pani Dziewanowskiej, bał się słowa przemówić do Zośki, która siedziała chmurna i nadąsana.

Przy kolacyi rozmowa się nie wiązała. Pan Jan był czegoś zamyślony, pułkownikowa jakby łzy połykała, Floryan siedział zapatrzony w postać Zośki. Ta ostatnia milczała zawzięcie.

Pan Jan pierwszy ruszył z miejsca i do odejścia się zbierał. Pułkownikowa żegnała się z nim po kilkakroć a serdecznie. Zośka rzuciła mu się na szyję, a szeptała coś długo do ucha. Floryan pamięci pani Dziewanowskiej polecił swego pacholika, ucałował jej ręce chciał następnie schylić się do ręki Zośki, lecz ta w tył odskoczyła i pożegnała go ledwie spojrzeniem.

Porucznikowi ścisnęło się serce: nie takiego się spodziewał rozstania. Chciał coś rzec jeszcze, lecz pan Jan pociągnął go za sobą... i wyszli, przeprowadzeni do sieni przez pułkownikową.

Dziewanowski szedł naprzód, zalecając Floryanowi, by się go trzymał, bo w długim a ciemnym korytarzu trudno było nieświadomemu trafić.

Porucznik kroczył machinalnie, nie odpowiadając Dziewanowskiemu. Kurcz jakiś dławił go za gardło, trząsł się jak w febrze. Naraz uczuł, że go ktoś chwycił za szyję. Dreszcz przeszedł porucznika. Zanim zdołał się opamiętać, tuż przy swej twarzy posłyszał cichy, ledwie dosłyszalny szept:

— Florek! Wracaj do swej Zośki!! Miłujesz-że ją? Zaprzysięgnij!

Gotartowskiego naraz dziwna ogarnęła błogość. Na ramieniu swem uczuł dotknięcie drżącej rozpalonej główki. Szyję oplatały mu maleńkie rączki.

Zaprzysięgam na wieki! — Moja ty, jedyna!!...

— Pamiętaj! florek... jeżelibyś mi nie wrócił, to ja... cię... pod ziemią odnajdę!... Słyszysz Florek!...

W tejże chwili rozległ się głos Dziewanowskiego.

— Mości poruczniku! Jesteś!?...

Uścisk oplatający Floryana rozwiódł się nagle, fala włosów jedwabnistych musnęła jego twarz, na ustach zawisnął pocałunek jak błyskawica szybki, jak rozpalone żelazo gorący...

Floryan, oparty o ścianę korytarza, stał przez chwilę, nie mogąc zebrać myśli, otrząsnąć się z rozkoszy, jaka go nagle przejęła. Dopiero powtórne zawołanie Dziewanowskiego zdołało go oprzytomnieć.

— Gdzie się waszmość podziewasz?! — niecierpliwił się pan Jan. — Ciemnica taka, trzymajże się mnie!...

Gotartowski spełnił machinalnie rozkaz.

Wyszli na ulicę.

U generała Wojczyńskiego w izbach zastano tylko dwóch Jordanów i pana Ignacego Wojczyńskiego. Zebranie już się było rozeszło.. Rada tylko nieustająca pracowała jeszcze. Wkrótce wyszedł generał i ucieszył się wielce z wiadomości, że Floryan znalazł towarzyszów.

— Teraz — mówił — pewny jestem, że mi nie przepadniesz, bo jeżeli Dziewanowski cię nie wesprze, to Wosiński sianem wykręci! Masz tu, poruczniku, listy dla generała... a tu weź zasiłek, który w drodze przydać ci się może.

Floryan wymawiał się od przyjęcia, tłómacząc się, że od matki dostał fundusik. Pan Wojczyński zgromił go:

— Ot mi racya dopiero! Małoś się to, poruczniku, nadreptał po Włoszech bez butów!? Ani to żadna darowizna, ani ofiara. Pięćdziesiąt czerwonych złotych wydzieliła ci rada na ekspensa. Bierz, nic nie pytaj, bo każdy grosz ci się przyda! Znam ja to wasze oficerstwo włoskie! Blizn na ciele jak dziur w rzeszocie, ordery, krzyże, sława, rozkazy dzienne, a w kieszeni tynf złamany tygodniami nie postoi!... Ale i na was czas przyjdzie, że nagrodę należną odbierzecie!

Nie było rady. Schował był porucznik zasiłek, a że we drzwiach ukazał się kapitan Wosiński, nie zwlekając, jął żegnać się z generałem, który go uściskał serdecznie a krzyżem pobłogosławił.

Wosiński zlustrował towarzyszów, przestrzegł Jorda-

nów i Dziewanowskiego, aby dragońskich pałaszy z rąk nie wypuszczali dla uniknięcia brząkania, kazał opatrzyć pistolety i dał znak do ruszenia w drogę.

IV.

Bitwy pod Jeną i Auerstädt poruszyły w posadach monarchię Fryderyka Wielkiego. Zaufanie w potęgę czwartej z rzędu koalicyi, złożonej z Prus, Rosyi, Anglii i Szwecyi, ustąpiło nagle panice powszechnej i zabobonnemu lękowi. Fryderyk Wilhelm próżno nazajutrz po bitwach żądał rozejmu, przeklinając chwilę, w której dał posłuch podszeptom swej energicznej małżonki. Napoleon odmówił, nierad wstrzymywać swego zwycięskiego pochodu. Fryderyk Wilhelm, drżąc już nie o całość granic swego państwa, lecz o koronę, słał posłów na dwory sąsiednie, wzywał pomocy, w Wiedniu, Londynie a Petersburgu.

Franciszek austryacki po daremnych z Francyą zapasach, gojąc bolesne szczerby pogromu austerlickiego, czekał spokojnie wyniku wypadków, sposobiąc się skrycie do wojny, a dwór pruski tajnemi notami łudząc. Anglia nie otrząsnęła się była jeszcze z idei miłośnika pokoju, ministra Foxa, i choć wylądowanie wojsk swoich w Hamburgu zapowiedziała, nie zdążyła z pomocą. Cesarz zaś Aleksander nie mógł oprzeć się pewnej niechęci ku Frederykowi za jego niedawną przewrotność, która, gdy go do związku przeciw Francyi przed Austerlitzem namawiano, sprawiła, że Prusy, udając przyjaźń dla Rosyi, nie zrywały z Bonapartem — tu i tam polując na rzucenie im ochłapu ze zdobyczy. Gdy atoli król Fryderyk błagać nie przestawał, cesarz Aleksander, wspaniałomyślnością wiedziony, dał się w końcu nakłonić do próśb Fryderyka i wysłał był korpus pod przewodem

generała Benigsena. Ten choć postępował szybko, nie mógł sprostać błyskawicznym ruchom ramii napoleońskiej. A raczej nie przypuszczał, aby ci sami oficerowie pruscy, którzy niedawno jeszcze, zapałem wojennym uniesieni, pod oknami posła francuskiego w Berlinie ostrzyli pałasze — bez wystrzału poddawali fortece, składali broń, lub na widok jednego orła cesarskiego pierzchali w rozsypce.

A przecież Bonaparte nie chciał tej wojny! Listy odręczne do króla pruskiego pisał, powolnym będąc na wszelkie wykręty posła niemieckiego Knobelsdorfa, dopiero gdy noty Fryderyka stały się coraz natarczywszemi, a żądanie uznania przez Francyę związku północnego państw zagrażało lidze reńskiej, Napoleon skinął i trzykroć stotysięcy wojska ruszyło od brzegów Renu.

Król pruski skwapliwie podjął rzuconą mu rękawicę i zwołał wielką radę wojenną, w której zasiedli starzy a doświadczeni generałowie. Więc siedemdziesięcioletni książę Brunszwicki, sławny marszałek Möllendorf, żołnierz znakomity a towarzysz Fryderyka Wielkiego, książę Hohenlohe, Massenbach generał kwatermistrz, książęta krwi, Ludwik Ferdynand, wódz niespożytej odwagi i rozważny Blücher i Rücher, Kalkreuth i Schmettau, Tauenzien, a w końcu sam książe Wilhelm August pruski — opracowywali plany bitew i ruchów wojska, każdy krok ważąc, każdy rozkaz surowemu sądowi poddając.

Napoleon tymczasem czasu nie tracił, planów nie układał, rzutem orlego wzroku ogarnął Europę, najlepsze kombinacye pruskich wodzów jednym ruchem ręki niwecząc, każdą zajętą pozycyę nieprzyjaciela na swoją obracając korzyść.

Jeszcze nie skrzepły potoki krwi pruskiej pod Jeną i Auerstädtem, gdy generał Kalkreuth poniósł klęskę pod Greussen, a w trzy dni później poddał się wraz z 15.000 armią.

Marszałek Davoust zajął Lipsk, Bernadotte zniósł pod Hallą księcia Wirtemberskiego, załoga Szpandawy złożyła broń przed Lannem, książę Hohenlohe przed Mu-

ratem pod Preslau; Szczecin, Kistrzyń, Lubeka, Magdeburg kapitulowały po kolei, oddając w ręce Francuzów tysiące dobrze wyćwiczonego żołnierza, zapasy amunicyi, setki armat, niezdobyte mury forteczne. Nigdzie żadnego oporu, żadnej obrony dłuższej. Jeden zewłok bohaterskiego księcia Ludwika Ferdynanda pod Salą, a potem już tylko białe chorągwie pralamentarzy, upokarzające traktaty i jeńcy a kontrybucye.

Król Fryderyk ze szczątkami armii schronił się do Królewca i znów rozpoczął układy. Napoleon tymczasem Sasów obdarzył wolnością, garstkę szwedzkiej odsieczy... puścił do domu, szukając, według swego zwyczaju, sprzymierzeńców pośród nieprzyjaciół.

Burza zdawała się cichnąć. Aż naraz, w ślad za tłumami zbiegów pruskich, ciągnących ku Wiśle i Warcie, ruszyły dalej zwycięskie orły pięcioma wielkiemi kolumnami, prowadzonemi przez marszałków Augereau, Davousta, Lanna, Murata i brata cesarskiego, Hieronima. Wejście armii francuskiej do ziemi, Prusami Nowowschodniemi zwanej, poprzedzili liczni wysłańcy generała Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego, a przed nimi jeszcze głuche wieści, pełne nadziei, mar słodkich i ułud zwodniczych. I zanim placówki francuskie a rekonesanse zdążyły sięgnąć granic Wielkopolski — już kraj cały przed nimi wrzał a sposobił się do czekających go wypadków. Imię Napoleona rozbrzmiewało coraz silniej, budząc ludność z odrętwienia.

Floryan z towarzyszami swymi zdałał po czterodniowej podróży przedostać się do Poznania, uniknąwszy szczęśliwie pruskich pikiet i spotkania z drobnymi oddziałami wojska, które z pośpiechem ściągało ze wszech stron ku Warszawie. Żałował był z początku Gotartowski, iż nie poszedł za namową Wincentego Jordana i do Gortatowic na nocleg nie zboczył — atoli, przekonawszy się w drodze z poszeptów a gawęd, że Francuzi nie żartem już się zbliżają, rad był, że do bałamuctwa się nie skłonił.

W Poznaniu trafiono właśnie na chwilę wejścia pier-

wszych dwóch pułków strzelców francuskich. Zamęt i ruch w całem mieście panował z tego powodu nie do opisania. Ludność wyległa na ulice, witając z zapałem przybywających oswobodzicieli. Formalne bitwy staczano o prawo zdobycia na kwaterę jednego żołnierza. Okrzyki gromkie, wiwatowe salwy, uroczyste nabożeństwa dziękczynne, odezwy i proklamacye Wybickiego, wici na pospolite ruszenie sędziwego wojewody Radzimińskiego, krotochwilne wierszyki, żegnające Prusaków, zebrania a uczty, gromadzenie się ochotników, powoływanie deputacyi do Napoleona, rugowanie pozostałych sług króla Fryderyka, wszystko to wzburzyło spokojne jeszcze niedawno umysły, a cichemu Poznaniowi nadało charakter rewolucyjnego grodu.

Uniesienie było powszechne, gorączka opanowała wszystkich. Tu układano projekt konfederacyi pod Napoleonem, ówdzie organizowano kasę centralną ofiar obywatelskich, gdzieindziej z dawnych wojskowych formowano zakłady pułków, rozpisywano listy do przedniejszych ziemian, obmyślano uroczyste przyjęcia dla przyszłego zbawcy narodu. I w jednej chwili rzucono się do pracy gwałtownej, odrywając się chyba dla powitania nowego regimentu francuskiego, lub okazania swej serdecznej gościnności „bratnim zastępom“. Pracowano dzień i noc, bez wytchnienia, z morzem nadziei i bezgranicznej ufności w gwiazdę i potęgę wielkiego zdobywcy. Szyto mundury, czapraki a kaszkiety, porządkowano zapylone kulbaki, polerowano broń, gromadzono zapasy rozmaitych prowiantów. Kuźnie zamieniały się w ludwisarnie, krawieckie warsztaty — w szwalnie pułkowe, opuszczone szopy — w magazyny i składy.

Dwory i dworki, nowomodne pałace a zmurszałe zamczyska, kamienice, czworaki a chaty, lepianki a najuboższe izdebki uczestniczyły w ruchu powszechnym a trosce. Żony sposobiły mężom odzież, matki ekwipowały synów, młode dziewczęta ślęczały nad haftami sztandarów i oficerskich „obszlegów“.

Gromadka pozostałych w Poznaniu Prusaków po-

nuro spoglądała na te przygotowania a wesele, próżno szukając punktu wyjścia z nieprzyjemnego położenia. Raz w raz ktoś z Prusaków wymykał się cichaczem ku Berlinowi, aby choć między swoimi przetrwać zmienne losu koleje. Lecz byli i tacy, którzy nadrabiali minami i co prędzej zmieniali front, byle utrzymać się na urzędach a posadach. Zdarzało się więc, że najzagorzalszy Prusak deklarował się być najszczerszym przyjacielem Polaków. Niedawny sługa „małego“ Fryca, sam usuwał ślady jego wczorajszego panowania i władzy.

— Unsere polnische komission fojefuzkie! — mówił głośno opasły urzędnik pruskiej „kamery“.

A bakałarz, stary Niemiec, głaskał w szkole chłopców i powtarzał z powagą:

— Sing, du Bube! Marś, marś!!

Porucznik Gotartowski, ulokowawszy się z towarzyszami swymi w gospodzie na Starym Rynku, wyszedł był natychmiast szukać generała Dąbrowskiego, który, według zapewnień właściciela gospody, bawił od dni kilku w Poznaniu. Jakoż, po krótkich dopytywaniach, dowiedział się, iż generał stoi w domu Mielżyńskich. Floryan udał się tam niezwłocznie, lecz tu, dostanie się do Henryka Dąbrowskiego było rzeczą nader trudną. Dziesiątki osób zalegały poczekalnie, najznamienitsi panowie dobijali się o kilka słów rozmowy z generałem. Dawni oficerowie, chcący przyjąć nową służbę, delegaci z okolicznych powiatów, szlachta, mieszczanie, wszystko to cisnęło się, czekając uporczywie swej kolei. Próżno Gotartowski tłómaczył się nieznanemu sobie sekretarzowi generała, próżno nastawał, aby go doń natychmiast wpuszczono. Nikt słuchać go nie chciał. Mijały godziny całe. Przed oczyma porucznika przesuwały się dziesiątki osób, setki wysłańców rozmaitych, półwojskowo odzianych ordynansów i kuryerów, a kolej jego nie przychodziła jakoś. Gotartowski zniecierpliwiony natarł ostro na sekretarza, lecz ten tylko ramionami wzruszył:

— Tu każdemu pilno. Każdy ma sprawę nie cierpiącą zwłoki! Widzisz waszmość, kto tu czeka również?...

Patrzże... kasztelan Krzyżanowski, Bieliński, pisarz koronny, Imć Działyński z Konarzewa, Kiełczewski, chorąży kaliski!... Jaraczewski! Chłapowski!

— Za pozwoleniem! — odparł ostro Floryan. — Nie chcę ubliżyć dostojnym osobom, lecz ja wracam z ważnym raportem!...

— Et! — odrzekł obojętnie sekretarz — takich ważnych raportów jest pełna poczekalnia! Trzeba czekać! A dowiedzże się waszmość, iż w tej chwili bawi u generała dowódca przedniej straży, generał Milhaud!

Jakby na potwierdzenie tych słów, we drzwiach prowadzących do tymczasowego gabinetu Dąbrowskiego, ukazała się wyniosła postać francuskiego generała. Szmer zaciekawienia powstał w poczekalni. Floryanowi błysnęła szczęśliwa myśl. Poszedł szybko do Milhauda i, wyprostowawszy się, odezwał się doń czystą francuszczyzną:

— Generale! Porucznik legii włoskiej ośmiela się prosić o wyświadczenie mu łaski!

— Proszę! rzekł uprzejmie generał.

— Wysłany przez generała Dąbrowskiego, wracam z papierami z Warszawy, lecz tu, dzięki nieświadomości sekretarza, który raport wojskowy traktuje na równi ze sprawami cywilmemi, czekam od trzech godzin bez nadziei przedostania się do generała!

Milhaud skinął przyjaźnie porucznikowi.

— Chcesz pan, żebym mu drogę utorował? Owszem — pozwól pan ze mną!

I generał zawrócił z powrotem i poprowadził Floryana wprost do Dąbrowskiego.

Dąbrowski aż rękoma strzepnął z ukontentowania na widok porucznika:

— Jesteś nareszcie! Myślałem, żeś przepadł! Jakże? Masz odpowiedź? Papiery?!...

Gotartowski odpowiedział pokrótce szczegóły bytności swojej u księcia Józefa i generała Wojczyńskiega, a w końcu doręczył Dąbrowskiemu listy rady.

Generał przebiegł szybko podane mu pisma.

— Dobrze! — ozwał się z zadowoleniem. — Bar-

dzoś dobrze zrobił, żeś trafił do Wojczyńskiego. Po Poniatowskim wiele sobie nie obiecywałem! Wyższa polityka świata mu w głowie! Zapomniał widocznie, iż przed ośmiu laty z górą próbowałem już tych dróg! Zarozumialec! W takim Berlinie pół roku blisko kołatałem. Mniejsza o niego. Wojna bez jednego żołnierza się odbędzie. W porę mi przybywasz, bo tu roboty masa, a ludzi brak!

Floryan wspomniał o towarzyszach swoich, nadmieniając, iż o ile mu wiadomo, młodzież ciągnie ze wszystkich stron.

Wybornie! — podchwycił z ogniem Dąbrowski. Dawaj mi tu tych zuchów! Takich właśnie nam potrzeba! Nie konsyliarzy, nie polityków, nie doradców — lecz żołnierzy! Właśnie oto generał Milhaud potrzebuje na gwałt dobrych dragomanów oficerów... marszałek Davoust prosi o przygotowanie dlań kurcera, znającygo język rosyjski... jutro podjazdy pierwsze ruszają w głąb kraju... Setek tysięcy potrzeba!... A im prędzej przedstawimy naszemu cesarzowi nasze pułki a dywizye, tem większego nabierze on mniemania o naszej sprawie!... Słuchaj Gotartowski! Godzina, dwie jeszcze i pozbędę się tego tłumu natrętów, którzy mnie tu opadają, częściej własne korzyści i ambicye niż dobro publiczne mając na celu... Otóż zbierz tych twoich kompanów i przychodź... Twojemu wyrobowi ufam!

Milhaud, który zdala przysłuchiwał się tej rozmowie, słowa nie rozumiejąc — odezwał się po francusku:

— Widzę, że wprowadzając tu porucznika, niemałą oddałem panu usługę.

— Ależ tak! — zawołał żywo Dąbrowski. — Pozwól sobie, kolego, przedstawić!... Floryan Gotartowski, oficer legii, weteran z pod Marengo, Adygi, Cortony, Novi!

Milhaud uścisnął serdecznie kękę porucznika.

— Miło mi poznać pana! Walczyliśmy więc przez lat tyle obok siebie!... nie znając się wcale!...

— Ba, ba! Dzielny oficer. Ot... gdyby tak Francuzem był, kto wie czyby szluf generalskich nie miał!... Lecz

co teraz ranga go nie minie!... Powiadają, że drugiego „brumaire“ w ósmym roku wojna trzydziestoletnia uratowała mi życie, lecz gdyby Gotartowskiego nie było pod ręką, kto wie, czyby mnie grenadyer austryacki nie dobił!...

— Jakże-to? zagadnął ciekawie Milhaud.

— Ot! Nic wielkiego! Austryacy pod Novi po raz drugi zabrali do niewoli generała Jabłonowskiego. Chcieliśmy go odbić. Drugi batalion z niedobitkami pierwszego prowadziłem do ataku na baterye. Gotartowski szedł tuż przy mnie. Wpadamy na armaty. Odcinam kanonierowi pałaszem trzymany lont wraz z palcami... w tej chwili kula rekoszetując, uderza mnie w bok... gdzie akuratnie miałem w kieszeni historyę wojny trzydziestoletniej... Uderzenie zwaliło mnie z konia. Tymczasem inny kanonier wpada na mnie, lecz tu był Gotartowski!! Słowem skończyło się na tem, że kula austryacka okaleczyła portret Maryi Teresy, który był na pierwszej stronie mojej historyi, poszarpała okładkę, i naraziła mnie na wydatek zakupienia drugiego egzemplarza!!...

Szczęśliwy zbieg okoliczności!

— Albo pod Ovada!... Hola! Żołnierska natura gawędziarska ciągnie! Daruj kolego!... Nie czas potemu! Więc, kiedy mamy się spodziewać przybycia marszałka?

— Szef szwadronu, Deschamps, zapewnia, że marszałek musiał już opuścić... Międzyrzec... Może na jutro zdąży!...

Hm! Więc mało już czasu pozostaje! Pan chce ruszać dalej?

— Bezwarunkowo! Przypominam koledze o przyrzeczonych przewodnikach...

— Będą z pewnością! Prusacy podobno obwarowują się w Łęczycy... Pikiety rosyjskie stoją pod Łowiczem.

— Co pan mówi! — wykrzyknął nieco zdetonowany Milhaud. — Więc w kraju tym są jeszcze wojska nieprzyjacielskie?

— Niezawodnie — odrzekł Dąbrowski. — Lecz

bądź kolega spokojnym! W dwieście koni możesz już dzisiaj do Warszawy dotrzeć... Ja odpowiadam! Żadnemu z twoich żołnierzy włos nie spadnie. A teraz daruj, kolego, lecz do pracy muszę, bo Wybicki mi tu spokoju nie da... Wieczorem proszę!!... A i ty kochany poruczniku, stawże się niechybnie!...

Gotartowski powrócił śpiesznie do gospody zdać sprawę towarzyszom z audyencyi u Dąbrowskiego. Zastał ich gwarzących wesoło wśród ciżby francuskich żołnierzy i tłumu szlachty i mieszczan. Gęsto rozstawione butle a gąsiory świadczyły, że podejmowano tu armię Napoleona suto a gościnnie. Żołnierze zapijali ze smakiem miód, węgrzyna... zmiatali z talerzy a misek obficie zastawione jadło, wykrzykując co chwila wesoło. Szlachta i mieszczanie, nie rozumiejąc zgoła języka francuskiego, rozprawiali między sobą, spełniając co chwila liczne toasty a zdrowia. W całej gospodzie jeden Dziewanowski znał dobrze język francuski, jego też obydwie strony powołały na tłómacza swych uczuć i wynurzeń. Co chwila ktoś zwraca się do pana Jana z żędaniem przekładu, co go rzetelnego nabawiało nieraz kłopotu.

— Janek od morza do morza — wołał swym grubym głosem Hermelaus Jordan — powiedz-że im, że choć mi dyablo kuso wyglądają, ale sprawne szelmy, kiedy takie jatki Prusakom wyprawili!...

— Czekajcie mośćpanowie! — krzyczał Wosiński. — Do porządku dziennego! Imć pana Dziewanowskiego obligują, aby tym czarnym łbom wytłómaczyć, że który kroplę miodu zostawi w szklanicy, temu się ją za kołnierz wyleje!...

— Za pozwoleniem — złościł się młodszy Jordan. — Niechże nareszcie dowiemy się z pod czyjej są komendy!...

— Veto! — ryczał w kącie opasły szlachcic.

— Panie! — napierał się stary kapral francuski. — Więc nie macie czerwonego wina wcale?!... A może sałata jest!!

— Salade! Salade! — podtrzymywali chórem żołnierze.

— Janku, zmiłuj się! — błagał Hermelaus. — Gadajże nam, czego się tak drą!?

— Proszą o sałatę!! objaśnił Dziewanowski.

— Hej gospodarzu! Sałaty!! Podać sałatę!! — ozwały się do około głosy.

— Veto! — huczał ciągle ten sam bas. — Niema zgody! Niema sałaty!!...

Tumult się wzmagał. Cała izba wołała o sałatę. Sałata stała się nagle najważniejszą kwestyą, najpilniejszą do załatwienia sprawą. Wyciągnięto z kąta właściciela gospody, zaklinając go, aby upragnionej sałaty z pod ziemi bodaj wydostał. Zafrasował się gospodarz, lecz przyrzekł najsolenniej zarządzić poszukiwania w całym mieście...

Zapewnienie to uciszyło na chwilę zebranych. Naraz rozległ się piskliwy głos z pod pieca.

— Mówiłem, panie dziu... także boćwinkarze i nic więcej!

Oczy obecnych Polaków w jednej chwili zwróciły się w stronę, skąd ich był głos doszedł. Pod piecem w ciemnym żupaniku siedział pękaty szlachetka z małym zadartym noskiem, z pod którego dwie olbrzymie miotły wąsów sterczały groźnie, zasłaniając okrągłą, pyzatą twarz.

Hermelaus porwał się z miejsca:

— Cóż to acan od morza do morza?!... Komuż to mówi... od boćwinkarzy!?

Slachetka poczerwieniał i odparł buńczucznie:

— Komużby!? Nie mówię... jeno powiadam panie dziu... mieliśmy kartoflarzy, teraz przyszli boćwinkarze... i tyle!!...

— Co to? Kto to?!!... zakrzyknięto w izbie.

— Silentium! — ozwał się ktoś ze szlachty.

— Cofnij acan obelżywe słowa! — wołał Hermelaus.

— Niech cofnie! Musi cofnąć!!...

— Veto!

— Panowie! — upominał Dziewanowski, widząc, że się nawet na awanturę zanosi.

— Boćwinkarze, powiadam, panie dziu!

Hola! Coś acan za jeden!? Nie wiem, zanim odeń porachunku zażądam od morza do morza...

— A przecież to imć pan Bonawentura Zając-Zajączkowski ze Zbyrek! — ujął się ktoś z tłumu.

— Otóż właśnie w tem sęk! — wmieszał się kapitan Wosiński. — Alteracya Imć pana Zająca nikomu dziwną być nie powinna! Wszak ci franci chcą mu spustoszenie uczynić w ulubionym specyale! Słuszna rzecz, gdy sałata w zającu znajduje obrońcę.

Ogólny wybuch śmiechu rozproszył w jednej chwili nadciągające chmury. Pękaty szlachetka przycupnął znów pod piecem, rad w duszy, że zajścia uniknął. Jeden Hermelaus był chmurny. Nie po myśli mu było wmieszanie się Wosińskiego. Nauczyłby szaraka rozumu!

Francuzi poglądali na tę scenę w niemem osłupieniu, napróżno starając się z ruchów i wyrazów twarzy wyrozumieć, o co rzecz idzie. Zwrócili się do Dziewanowskiego, lecz ten ich zbył wpół żartem i zwrócił się do Gotartowskiego, który zdołał nareszcie docisnąć się do stołu.

— Przez miły Bóg! — zaczął gorączkowo Floryan. — Porzućcie tę całą kompanię. Gotowiście sobie głowy zaprószyć, a tu dziś mamy się stawić u generała!

— Robię co mogę. Widzisz sam, poruczniku, co się dzieje! Obawiam się o starszego Jordana! Wincenty pomiarkowany zawsze, o Wosińskiego mniejsza, ten ma głowę z kamienia... lecz Hermelausowi już zaczmerało.

— Niema co! Wychodźmy stąd zaraz!... Wyciągnij waszmość tylko Hermelausa.

Niełatwa to atoli była rzecz, bo starszy Jordan, gdy mu się sprawa o „boćwinkarzy“ nie powiodła, zawrócił był już z miejsca w przeciwległą stronę izby w kąt, pod oknem, skąd co chwila dobywało się basowe „Veto“. I nim zdołał ruszyć za nim Dziewanowski, Hermelaus mierzył ostro wzrokiem opasłego szlachcica, raczącego się

piwem grzanem.

— Jordan jestem! — rzucił groźnie Hermelaus, macając głownię pałasza.

Szlachcic podniósł zwolna głowę, dobył tabakierki, pociągnął jeden i drugi niuch tabaki i odrzekł obojętnie:

— Jordan!?... Hm! Sroga rzeka, sławna, katolicka, a jakże!

— Waść sobie dworujesz! Powtarzam... Hermelaus Jordan jestem do milion dyabłów od morza do morza!...

— Hę! Menelaus!... Piękny ród, starożytny, jeno on Parys niepotrzebnie na przyprzążkę z nim chodzi!

Imć Hermelaus posiniał z gniewu. Oczy mu na wierzch wyszły, olbrzymie kiście rąk zacisnęły się w pięści i spadły z impetem na stół, przy którym siedział flegmatycznie szlachcic.

— Acan mi ważysz się przymawiać?!... Acan z poczciwego imienia Jordanów żarciki sobie stroisz?!...

— Gdzieżbym się ważył!... Nie widzisz waćpan, że jakeś pięścią walnął, to cię nawet mój kufel uszanował!...

— Dosyć! Milcz, capie jeden od morza do morza!

— Aż taki wielki? Hm! Tanden... pistolety, karabele, pałasze... gwintówki?... Wybieraj! Byle nie armaty, bo mi ostatnią wiwatówkę landrat łońskiego roku ze stodoły wyprowadził!

— Bizuna na trefnisiów!

— Chcesz się acan biczować!?

Hermelaus skoczył ku przeciwnikowi, chwycił go za bary, lecz ten nagle poczerwieniał, otrząsnął się i pchnął Jordana tak silnie, że ten upadł pomiędzy zwarte koło skupiających się widzów.

Hermalaus porwał się do pałasza i jął się przedzierać do szlachcica, lecz w tejże chwili nadbiegli Wosiński z Dziewanowskim i wstrzymali go, gdy Wincenty Jordan, ujmując się za bratem, przypadł do stołu w kącie.

— Mości panie! Co znaczy napaść taka?!... Chcesz, aby cię tu na szablach rozniesiono?!...

Powoli, powoli, zacny kawalerze! Bacz kto zaczynał! Jam tu waścinego kamrata nie prosił...

Puście mnie! — ryczał z głębi izby Hermelaus. Niech mu uszy poobcinam!

Floryan, zoczywszy, że znów z drugim Jordanem zanosi się na awanturę, odciągnął Wincentego za ramię.

— Mnie zostaw.

Zaczem, zwracając się do szlachcica, rzekł:

— Z kimże mam honor przedewszystkiem?

— O to właśnie chciałem zapytać!

Gotartowski zagryzł wargi, lecz odparł, siląc się na spokój:

— Floryan Gotartowski, porucznik legii włoskiej!

— Syn... Józ... Józefe?! — rzucił pośpiesznie szlachcic.

— Tak! Lecz z kimże!!? — tu urwał nagle, bo opasłe ciało nieznajomego zawisło nagle mu na szyi.

— Patrzaj! Florek! A niechże ci się napatrzę!! Żem cię nie poznał! Kubek w kubek do ojca podobny!... Dajże gęby!... A no jeszcze!... Za przepadłego cię mieli!... Siadaj-że no przy mnie! Gospodarzu!... Miodu!... Poczciwy Józef... ot, serce się kraje go wspominać! A i piwa grzanego!

Gotartowski, zaskoczony z nienacka, ani się obejrzał, jak szarpnięty przez szlachcica, siedział tuż przy nim na ławie.

— Daruj waszmość, lecz nie wiem dotąd...

— Florek!... Nie wiesz!? Bonawentura Głuski z Jastkowa!...

— Głuski?!... — powtórzył przeciągle porucznik, napróżno siląc się przypomnieć, gdzie to nazwisko słyszał.

Szlachcic się skonfundował nagle:

— Cóż to ciągniesz tak moje nazwisko?... Głuski, powiadam — to i dosyć! Z ojcem twoim w konfederacyi byłem!... He-hę! Dawne czasy! Veto — i koniec! Poznałeś-że mnie?... Jeszcze?... Z niebaś spadł?!.. Toć brat twój, Staszek, ma się ku mojej Marysi! No — teraz?!

Tu dopiero wspomniał porucznik, iż matka mu powiadała o mających się odbyć zrękowinach Staszka